Nr. 38. Warszawa, dnia 19 (7) Września 1891 r. Rok XI.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty i prosimy o możliwie wczesne nadsyłanie jej.

POLITYKA.

TOWARZYSTWO EMIGRACYJNE.

Projekty bar. Hirscha w kwestyi wysiedlenia żydów z Europy wschodniej do Ameryki południowej zaczynają się powoli wcielać w życie. Londyńska „Jewish Colonisation Association" ogłosiła w pismach angielskich statut i program Towarzystwa, mającego służyć temu celowi. Posiada ono kapitału 2 miliony funt. sterl. (około 20 milionów rubli) w 20,000 udziałów po 100 f. szt. Sam Hirsch posiada tych akcyj 19,990, inni bankierzy rozebrali resztę. Program tak określa zadanie tej instytucyi.

Będzie ona popierała emigracyę żydów ze wszystkich krajów Europy i Azyi, głównie zaś z tych, gdzie oni nie używają pełni praw obywatelskich, zwracając ich do innych części świata; będzie zakładała kolonie w Ameryce północnej i południowej, oraz gdzieindziej dla celów rolniczych, handlowych i innych; będzie nabywała od rządów, państw, gmin, stowarzyszeń lub osób ziemię, wszelką własność lub prawa do gruntów, dających się zużytkować dla kolonizacyi; będzie fundowała i rozwijała w nabytych terytoryach po za Europą osady rolnicze, handlowe i inne; będzie budowała lub wspierała drogi, koleje żelazne, mosty, przystanie, telegrafy, fabryki, synagogi, łaźnie itd.; będzie kupowała, sprzedawała i wywoziła wszelkiego rodzaju towary oraz podejmowała przedsiębiorstwa, mogące służyć wychodźctwu i kolonizacyi; będzie utrzymywała agentury emigracyjne w różnych krajach Europy, Azyi i innych części świata, budowała okręty i inne statki do przewożenia emigrantów; będzie wyjednywała kolonistom prawa górnicze, będzie ich zaopatrywała w narzędzia, materyały i inne rzeczy, potrzebne w rolnictwie lub jakiejkolwiek pracy. Zbywające pieniądze spoczywać będą w papierach państwowych Anglii, Francyi, Belgii, Holandyi, Niemiec i Stanów Zjednoczonych. Własność i dochody Towarzystwa mogą być używane wyłącznie tylko na ten cel, bez żadnego wydzielania członkom dywidendy lub zysków. Gdyby ono kiedykolwiek rozwiązało się, pozostały majątek również nie może być rozdzielony między członków, lecz ma być przeznaczony na inne instytucye żydowskie podobnego charakteru. Co najmniej raz w roku rachunki winny ulegać rewizyi. Podczas pierwszych pięciu lat istnienia Towarzystwa, większość akcyonaryuszów może zmienić przepisy statutu, po upływie zaś tego okresu — nie, wyjąwszy gdyby na ostatniem ogólnem zebraniu trzy czwarte posiadaczów akcyj co innego uchwaliło lub gdyby potem wszyscy piśmiennie oświadczyli swą zgodę.

Times, rozbierając ten olbrzymi plan, wyznaje, że chociaż ludzie, w takich sprawach praktyczni i biegli, uważają go za dobry, napotka on z pewnością w wykonaniu trudności bardzo ciężkie do zwalczenia. Przedewszystkiem niewiadomemi a ważnemi cyframi w tej rachubie są państwa, z których żydzi zaczną emigrować i do których zechcą masami przybywać. Zarówno pierwsze, jak drugie mogą w tem ich tłumnem wysiedlaniu i osiedlaniu się dostrzedz dla siebie jakąś szkodę i zatamować fale wylewu lub przypływu. Te wątpliwości *Timesa* wydają nam się nieuzasadnionemi. Żadne bowiem państwo nie zdoła powstrzymać ruchu emigracyjnego z silnem natężeniem; gromady, niemogące przejść jawnie przez granicę otwartą (jak to widzieliśmy przy wychodźctwie do Brazylii), przekradną się tajemnie przez zamkniętą. Powtóre, Towarzystwo przecie nie będzie zwracało wędrowców na oślep, lecz ma nabywać dla nich terytorya i przygotowywać uprzednio wszystkie warunki kolonizacyjne. Dokąd podążą, tam znajdą gościnność i ubezpieczone siedziby. Dalej *Times* mniema, że w tej przesiedlającej się do innych ziem masie tylko jednostki skorzystają na zmianie położenia, większość zaś zubożeje przez samą stratę najlepszych pierwiastków swej rasy. Uwaga to dosyć słuszna, ale nierozstrzygująca sprawy. Koloniści europejscy, którzy zaludnili Amerykę północną, wyjeżdżali za ocean jak stada przepiórek lub bocianów, gorzej — pędzili jak tumany liści wichrem gnane, bez pomocy Hirschów, bez opieki stowarzyszeń filantropijnych, a jednakże nie zginęli i los swój poprawili. Najhojniejszy skarbiec, najrozumniejszy plan, najżyczliwsza rada — nic nie zabezpieczy wędrownych mas od ofiar, które spełnić się muszą; chodzić powinno tylko o to, ażeby one nie przewyższały osiągniętych korzyści, nie tyle dla obecnych, ile dla następnych pokoleń.

Nierównie ważniejszą okoliczność podnosi w tem przedsięwzięciu *St. James Gazette*. Dwa miliony funt. szt. — powiada ona — to suma wielka, ale czy ona wystarczy dla przesiedlenia miliona rodzin żydowskich z Europy wschodniej do Ameryki południowej, zwłaszcza że oprócz kosztów podróży trzeba emigrantów zaopatrzyć w środki? Naturalnie jest to niemożliwe. Temi więc siłami pieniężnemi, jakiemi rozporządza Towarzystwo londyńskie, kwestya żydowska w całym swoim rozmiarze usunąć się z Europy nie da. Wszakże pomiędzy *wszystko* a *nic* jest jeszcze *wiele*, które ma także znaczenie. Nie wyemigrują przy pomocy Hirscha 2 lub 1 milion żydów, to wyjedzie za ocean 500—300,000 tysięcy, a ta cyfra zaważy na szali donioślymi skutkami. Zresztą nie należy zapominać, że jeżeli wychodźcy znajdą przyjazne dla siebie warunki istnienia, sami przyjmą udział w przyciąganiu dalszych fal ruchu i dostarczą mu środków. Widzimy to we wszystkich wędrówkach emigracyjnych, które dotychczas obywały się bez żadnego protektoratu.

Wkrótce zapewne Towarzystwo londyńskie rozpocznie swoją działalność i przedstawi faktyczne dowody jej rezultatów. Wtedy będziemy mogli ściślej ocenić jego zamiary i czyny. Jest to przedsięwzięcie tak olbrzymie, że ono teoretycznie obliczyć się nie da, tem bardziej, że nie ma w przeszłości przykładów, któreby mogły dostarczyć jakichkolwiek wskazówek. Obok uwag *Timesa* i innych gazet można postawić cały szereg przypuszczeń i wątpliwości, ale dopiero praktyka ujawni domniemania słuszne i omyłki niezawodne.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sprawa dardanelska łącznie z upadkiem gabinetu tureckiego wciąż jeszcze sprawia Europie — jak niemcy mówią — po-bóle, które powiększają się przy lada sposobności. W zeszłym tygodniu zaniepokoiła giełdy pogłoska, że anglicy zajęli Mitylenę. Ponieważ wyspa ta leży przy Dardanelach, więc naturalnie wysnuto prosty wniosek, że Anglia w odwet za układ rusko-turecki usadowiła się w bardzo ważnym punkcie posiadłości tureckich, z którego będzie mogła panować nad cieśniną. Wkrótce nadeszło zaprzeczenie tej nowiny. Wyjaśniono mianowicie, że jeden okręt istotnie wysadził na wyspę majtków z działami, ale uczyniono to dla niewinnych ćwiczeń morskich, dla których Anglia często wyjednywa sobie u Porty pozwolenie wprowadzenia na jej terytoryum zbrojnych oddziałów marynarskich. Co prawda nigdy dotąd o tem nie słyszeliśmy, a jeżeli istnieje taki zwyczaj, to zadziwia on bardziej, aniżeli otwieranie cieśniny Dardanelskiej okrętom obcym. Ćwiczenia wojsk jednego państwa, odbywające się na terytoryum drugiego, wkraczają w sferę sielanki, dla której obecne położenie polityczne nie przedstawia odpowiednich warunków.

Gazety ciągle i daremnie grzebią w powodach, które sprowadziły upadek wielkiego wezyra, Kiamila paszy. Musiał on czemś grubo przewinić sułtanowi, jeżeli dotąd trzymany jest pod strażą. Domysły rodzą się codzień świeże. Kiamil miał utaić przed padyszachem rokosz w Jemenie, miał opierać się rozesłaniu okólnika do mocarstw, uwiadamiającego, że Porta nie będzie nadal płaciła okupu za jeńców w niewoli rozbójników, miał uknuć spisek pałacowy itd.

Cesarz niemiecki po manewrach austryackich w Schwarzenau objeżdża kolejno dwory książąt niemieckich, wszędzie wznosząc toasty polityczne. Do brzmienia tych toastów, zapewniających o pokoju, ale zastrzegających, że „gdyby wybuchła wojna" itd., Europa już się przyzwyczaiła, nie przestają one jednak wywierać wpływu drażniącego. Nie pozwalają bowiem umocnić się wierze w pokój trwalszy i utrzymują atmosferę obaw o jutro. Są to strzały prochem bezdymnym, ale huczącym.

Wartoby dociec, czy francuzi ze świadomością wytwarzają sobie powody do awantur, czy też wpadają w nie mimowoli. W Paryżu ma być wystawiony *Lohengrun*. Opera niemiecka, przytem utwór Wagnera — tego aż nadto lidze patryotycznej do narobienia wrzawy. Otóż czy dyrekcya teatru, zamierzając przedstawić tę operę, mogła wątpić, że wywoła zamieszki? Więc chyba ich pożądała.

Król rumuński gryzie twardy orzech małżeński. Jego żona, poetka znana pod pseudonymem Carmen Sylva, jest niewątpliwie kobietą utalentowaną i dobrą, ale chorą, z potarganymi nerwami i sentymentalizmem dziwnie sprzecznym z „racyami państwa." Uniesiona sercem, chciała połączyć następcę tronu ze swą przyjaciółką, na którą Rumunia, pragnąca i potrzebująca wysokich stosunków i związków swojej dynastyi, nie zgodzi się nigdy. Ciężkie przejścia miał król przy łożu żony w Wenecyi, skąd ją wreszcie wywiózł. Nie mógł poddać się jej zachceniom, nie mógł drażnić kobiety chorej i zapewne degorywającej, pozostawało mu tylko znosić cierpliwie jej wybuchy i skargi.

Prześladowanie chrześcian w Chinach wzrasta dalej z zatrważającą siłą. Mocarstwa ponowiły swój nacisk na rząd, który ze swej strony ponowił swe rozkazy w okólnikach do gubernatorów, ale wszystko to nie osiąga skutku. Stowarzyszenie tajne, które nawet zaopatruje się w broń, przemycaną, podszczuwa ludność i pcha ją ku gwałtom.

Niemcy ponieśli ciężką porażkę w Afryce. Wyprawa ich pod dowództwem Zalewskiego została przez murzynów w pień wycięta. Wypadek ten jest pierwszem mocnem ochłodzeniem zapędów kolonizatorskich i zdobywczych Germanii, której dotąd nieźle się wiodło.

Rząd turecki skonfiskował dwa ładunki broni, wiezionej na okrętach austryackich pod zmyślonym adresem, a przeznaczonej dla Albanii. Kontrabandę wykryli czarnogórcy.

Juliusz Grevy pochowany został z honorami należnymi b. prezydentowi Rzeczpospolitej. Nad grobem ministrowie i dawni jego towarzysze wyrazili nieboszczykowi zasłużoną wdzięczność za utrwalenie obecnej formy rządu.

BADANIA NAUKOWE.

HERMAN HELMHOLTZ

Z rozpoczęciem roku akademickiego Niemcy uroczyście obchodzić będą siedemdziesiątą rocznicę urodzin Helmholtza. Termin jej przypadł na 31 sierpnia, lecz sędziwy uczony bawił wtedy w Alpach austryackich. Pisma niemieckie, fachowe i codzienne, przypominają publiczności główne fakty z życia i naukowej działalności tego niepospolitego męża; i my chcielibyśmy bodaj pobieżnie naszkicować całokształt zasług Helmholtza około wiedzy nowożytnej.

Jest on jednym z owych nowoczesnych filozofów przyrody, którzy na podstawie badań ścisłych rozszerzyli wiedzę naszą o wszechświecie. Był uczniem słynnego filozofa Jana Mullera, z którego szkoły wyszło kilku najwybitniejszych przyrodników i lekarzy współczesnych. Będąc jeszcze młodym lekarzem, pracował nad podstawami fizyki, w tej też dziedzinie położył największe zasługi.

Imię Helmholtz stało się głośnem w 1847 r., kiedy wystąpił z rozprawą „O zachowa-

---

3)

KNUT HAMSUN.

GŁÓD.

— Zdaje mi się, że pan kuleje?

— Tak, być może, kuleję trochę, zresztą bardzo nieznacznie.

— Przeszłym razem miał pan chory palec, teraz znowu — chorą nogę! A to strach, jakie panu wciąż dokuczają dolegliwości...

— Przed paru dniami upadłem pod koła.

— Pod koła? Więc znowu trunek! Boże zmiłuj się, jakież pan prowadzi życie? — Grozi paluszkiem, udając poważne zagniewanie. Siądźmy! — mówi wreszcie. Nie, nie przy drzwiach... to zbytek wstrzemięźliwości... ot, proszę tutaj; pan tam, a ja tu — tak! Fe, zanudzić się można, obcując z człowiekiem zanadto nieśmiałym... Wszystko mów sama, czyń sama! W niczem ani trochę pomocy! Mógłby pan naprzykład zupełnie spokojnie położyć ramię na poręczy krzesła mego; właściwie na pomysł taki sam pan wpaść powinien!.. O, nie wmówisz we mnie, że zawsze jesteś takim! Nie zapomniałam jeszcze, z jakiem zuchwalstwem pan mnie prześladowałeś wtedy na ulicy, kiedy byłeś nietrzeźwy! Te sprytne wybryki: pani gubi książkę, pani z pewnością gubi książkę! Ha, ha, ha! Nie, to doprawdy brzydko było z pańskiej strony!..

Siedzę zmieszany i w nią patrzę. Serce głośno mi bije; krew ciepłą falą płynie mi przez żyły. Jakież dziwne uczucie!

— Dlaczego pan nic nie mówi?

— Jaka pani słodka! — rzeknę. Ot siedzę... jak zaklęty czarem tej słodyczy, poddaję jej się cały, zupełnie, na to niema rady!.. Jesteś pani najdziwniejszą istotą, jaką kiedykolwiek... Czasem oczy pani błyszczą... nie widziałem jeszcze nic podobnego... niby kwiaty... Co? Nie, nie, może i nie jak kwiaty, ale jak... Strasznie jestem w pani zakochany, a to taka niedorzeczność!.. Wielki Boże, naturalnie, że nic mi z tego nie przyjdzie!.. Jak pani na imię? Teraz musi pani doprawdy powiedzieć swoje imię... Więc jakże pani na imię? Boże, i znowu o mało nie zapomniałem! Wczoraj przez cały dzień przypominałem sobie, aby panią dziś o imię zapytać. To jest nie przez cały dzień, ale... Wie pani, jak cię nazwałem?.. Ylajali. Jakże się to pani podoba? Taki miękki dźwięk!

— Ylajali?

— Tak.

— Czy to obca mowa?

— Hm... Niekoniecznie.

— No... brzmi niebrzydko!

Po długich korowodach wymieniamy sobie wzajemnie imiona nasze. Ona siada obok mnie na kanapce, krzesło odsuwa nóżką... Zaczynamy gawędzić.

— A to się pan dzisiaj i ogolił! — zawołała. Wogóle wygląda pan dzisiaj trochę lepiej, niż przeszłym razem, ale tylko trochę lepiej; niech pan sobie czasem nie wmawia... Bo też ostatnim razem wyglądał pan doprawdy niemożliwie! W dodatku miałeś jakąś brudną szmatkę na palcu... I w takim stroju chciałeś koniecznie pójść ze mną, choćby na kieliszek wina! Bardzo dziękuję!

— Więc pani odmówiła dlatego, że marnie wyglądałem? — pytam.

— Nie! — odpowie, spuszczając oczy. Nie, Bóg mi świadkiem, że nie — nawet o tem nie myślałam.

— Więc pani z pewnością jest przeświadczona, że ja mogę żyć i ubierać się wedle woli? Co? Ale tak nie jest, jestem bardzo, bardzo ubogi!

Spogląda na mnie.

— Pan jesteś ubogi?

— Tak, niestety!

Pauza.

— Ha, dobry Boże, i ja jestem biedna! — rzecze, rezolutnie podnosząc główkę.

Każde jej słowo upaja mnie, niby kropla wina w serce moje spadła. Podczas gdy mówiłem, słuchała uważnie, skłaniając główkę trochę na bok, a minka ta w zachwyt mnie wprawia. Czuję jej oddech na mojej twarzy.

— Wie pani, że... ale niech się pani nie gniewa. Wczoraj wieczorem, kładąc się na spoczynek, rozpostarłem to oto ramię... dla pani — tak... jakbym panią w objęciu trzymał... i tak zasnąłem...

— Taaak? To ładnie!..

Pauza.

— Lecz tylko zdaleka zdobywa się pan na coś podobnego?..

— Nie przypuszcza pani, że na czyn podobny się zdobędę?

niu energii"; poprzednio już ogłosił był prace z zakresu anatomii i fizyologii nerwów, oraz badania nad przemianą materyi. Wiadomo, że pierwszeństwo odkrycia wielkiej zasady, na której opierają się dziś wszystkie gałęzie nauk przyrodniczych, należy się heilbrońskiemu lekarzowi Robertowi Mayerowi, który w r. 1842, a następnie w 1845 obalił przestarzałe poglądy o cieple jako materyi osobnej. Rozprawki te jednak nieznane były wielu współczesnym przyrodnikom, tak, że Helmholtz doszedł był do odkrycia tejże samej zasady zupełnie samoistnie. Jego też zasługą jest wysnucie kosmograficznych wniosków z zasady zachowania energii, tej głównie, że kiedyś ustanie wszelka praca mechaniczna w obrębie naszego systemu planetarnego, wówczas mianowicie, skoro nastąpi równowaga ciepła we wszystkich warstwach.

Nie mniejszej doniosłości są badania Helmholtza na polu optyki i akustyki. Myśliciel ten nigdy drobnostkami się nie zajmował, wszędzie usiłował dotrzeć do praw najgłębszych, a wszechobejmujący umysł jego zastanawiał się zarówno nad czysto fizyczną, jak nad estetyczną stroną zjawisk, tak, że Helmholtz został nietylko jednym z fundatorów fizyki nowoczesnej, lecz też pionierem estetyki prawdziwie naukowej. Mimochodem jeno zastosowywał praktycznie swe odkrycia i czynił wynalazki niezmiernego dla medycyny znaczenia.

I tak na polu optyki, badając nietylko istotę światła, ale i budowę oka ludzkiego, wynalazł używane dziś powszechnie zwierciadło oczne. Jakże smutnym musiał być stan okulistyki przed r. 1851, tj. zanim Helmholtz ogłosił swój wynalazek! Nietylko że nie można było zbadać wnętrza oka żywego, lecz nie miano nawet wyobrażenia o fizyologicznych i anatomicznych jego właściwościach, gdyż one, jak wiadomo, zaraz po śmierci znacznie się zmieniają. W świecie naukowym krąży anegdota, że Helmholtz wpadł na pomysł zwierciadła ocznego w chwili, kiedy wychodząc z pokoju Jana Müllera, spotkał na progu Brueckego, a w oku jego, jasno oświetlonem, spostrzegł punkt przeświecający z głębi.

Główne wyniki badań swych na polu optyki złożył Helmholtz w znanem dziele „Handbuch der physiologischen Optik," które do dziś stanowi książkę klasyczną dla matematyków, fizyków, okulistów i malarzy. Podobnie na polu akustyki zawdzięczamy mu objaśnienie zasadniczych zjawisk muzycznych. Rozwiązał on zagadkę różnicy dźwięków instrumentalnych. wykazując, że dźwięki nie są proste, jednolite, lecz złożone z fal różnorodnie uformowanych, grupujących się około tonu głównego (Grundton). Barwa dźwięku zależy właśnie od charakteru tych „nadtonów" (harmonische Obertöne). Stosując konsekwentnie teoryę undulacyjną, wytłomaczył też Helmholtz zgodność i niezgodność brzmień (konsonancyę i dyssonancyę). Jak w dziedzinie optyki wyjaśnił był budowę i funkcye wewnętrznych części oka, tak na polu akustyki wystąpił z badaniami słuchu, zwłaszcza zaś organu Cortiego, będącego niejako miniaturowym fortepianem.

W tem jednak objawia się filozoficzny charakter Helmholtza, że nie poprzestał on na wyjaśnieniu wrażeń zmysłowych, lecz kusił się też o zbadanie, w jaki sposób z wrażeń tych powstają spostrzeżenia, fakty świadomości. Znalazłszy się tu u kresu badań fizycznych, wrócić musiał do filozofii, której pierwsze zawdzięczał pobudki. Helmholtz opiera się na nauce Kanta, którą jednak w niektórych względach sreformował. Twierdzi z Kantem, że nie spostrzegamy przedmiotów jako takich, jeno wrażenia, wywoływane w zmysłach naszych przez przedmioty, które same w sobie są nieznane. Powstawanie spostrzeżeń zawdzięczamy jedynie czynności rozumu. I tak, łączenie dwóch obrazów, powstających w obu oczach naszych, w jedno wyobrażenie, tłomaczy Helmholtz jako kombinacyę obu, opartą na doświadczeniu. Każde spostrzeżenie i każdy pogląd opiera się na doświadczeniu i czynności rozumu. Podobnie pojęcia czasu i przestrzeni, które Helmholtz wraz z Kantem uważa nie za stosunki realne, lecz za formy naszego pojmowania świata, powstają zwolna w umyśle naszym drogą doświadczenia. Zatem i zasady geometryi — w przeciwieństwie do Kanta — Helmholtz uważa nie jako konieczne właściwości przestrzeni, lecz jako nabyte doświadczeniem.

O rozwiązanie najwyższych zagadnień filozoficznych nigdy się nie kusił. Najwyższym celem jego jest zbadanie zjawisk i stwierdzenie ich praw. Prawo zaś utożsamia on z siłą samą, po za którą niczego już nie szuka. To też główną jego dążnością jest dojście do najczystszego wyrazu praw przyrodzonych, usunięcie wszystkich wpływów ubocznych, przypadkowych, mącących działanie ich, a zatem i wyniki badania. Nie jest to więc bynajmniej zboczeniem z głównej drogi naukowej, gdy Helmholtz, porzuciwszy katedrę, objął kierownictwo państwowego instytutu fizykalno-technicznego, zajmującego się badaniem i usuwaniem powodów niedokładności obserwacyi fizykalnej, a zatem głównie niedokładności przyrządów.

Jakim jest właściwie pogląd na świat Helmholtza, tego domyśleć się możemy z treści jego przemowy akademickiej „O faktach spostrzeżenia." Stoi tu znowu na gruncie filozofii Kantowskiej, twierdząc, że zmysły nasze nie odzwierciedlają nam świata zewnętrznego, jeno dostarczają znaków, że coś po za nami istnieje. Pewnemi są jedynie prawa, które wyczytujemy z tych znaków. „Przypuszczenie, że istnieje świat zewnętrzny, jest hipotezą naukową, której nie możemy odróżnić od snu; lecz jest to jedyna hipoteza, która informuje nas pewnie i praktycznie o tem, czego mamy oczekiwać, jedyna, z którą liczyć się możemy, z której wywnioskowywać możemy przyszłość."

N.

PIERWOCINY SPOŁECZNE.

Kilkakrotnie wypadło nam już wspominać o pierwszorzędnem znaczeniu naukowem poszukiwań etnograficznych, prowadzonych od niejakiego czasu systematycznie przez zamorskich badaczów nad bytem społecznym ludów pierwotnych. Prace Morgana stanowią istotną erę w rozwoju tej gałęzi wiedzy. Dzisiaj chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelników *Prawdy* na innego badacza, którego nazwisko dotychczas jest znane zaledwie w bardzo niewielkiem kółku specyalistów. Jest to A. W.

— Nie, nie przypuszczam.

— Dlaczego? Po mnie wszystkiego spodziewać się można! — odeprę, obejmując kibić jej ramionami.

Gniewa się, obraża niełedwie, że uważa mnie za zbyt przyzwoitego człowieka: zbieram siły, puszczam serce w ruch i chwytam jej rękę. Lecz ona, milcząc, cofa ją z mej dłoni i siada trochę dalej. To znowu odwagę mi odejmuje; zawstydzony spoglądam w stronę okna. Bo też w samej rzeczy, siedząc tak obok niej, miałem wygląd nędznika. Jakże śmiałem spodziewać się czegoś? Rzecz inna, gdybym ją był spotkał, kiedy byłem podobny do człowieka, za dobrych czasów, kiedy jeszcze na cośkolwiek w życiu liczyć mogłem. Uczuwam straszne przygnębienie.

— Więc patrz pan — rzecze — patrz tylko: ściągnę brew, a pan tracisz grunt pod nogami, usuwam się trochę — a pan już wstydem płoniesz.

Śmieje się figlarnie, filuternie, z zaciśniętemi oczami, jak gdyby nie znosiła czyjegoś na sobie spojrzenia.

— Dobrze... wszechmocny Boże — ale teraz niechże pani na wszystko będzie przygotowana!

I z temi słowy obie ręce zarzucam na jej szyję. Czuję się prawie obrażony! Czy ta dziewczyna rozum straciła? Czy uważa mnie za jakieś niewiniątko? Ja jej pokażę, na żywego Boga, pokażę!.. Niechaj nikt nie śmie myśleć, że w tym względzie komukolwiek ustępuję! Jakaś szatańska moc w tej dziewczynie! Jeżeli tylko o to idzie...

Siedzi spokojnie, oczy wciąż jeszcze ma przymknięte: oboje milczymy. Przytulam ją do siebie, przytulam ze wszystkich sił, przyciskam chciwie ciało jej do mojej piersi, ona nie mówi ani słowa. Słyszę uderzenia naszych serc — niby głuchnące w oddali tętna kopyt.

Całuję ją.

Tracę władzę nad sobą, bełkoczę jakieś głupstwo, z którego ona się śmieje, w rozchylone jej usteczka składam całą wiązankę nazw pieszczotliwych, gładzę jej lica, całuję ją dużo, dużo razy, bez liku. Odpinam parę guziczków u jej stanika, widzę jej łono, białe, krągłe łono, przebijające niby słodki cud jakiś przez białą bieliznę.

Ona dla niepoznaki gładzi lewą rączką moje ramię, mówiąc:

— Jakie tu mnóstwo włosów! Skądże panu tak włosy wychodzą?

— Nie wiem!

— O, pan naturalnie nadmiernie pije, a może... Fe, nawet wymówić tego nie mogę! Mógłby się pan wstydzić! Tego bym się po panu nie spodziewała!.. Taki pan młody, a już włosy traci... A teraz proszę mi opowiedzieć, jak pan właściwie żyje? Przekonana jestem, że strasznie! Ale prawdę, słyszysz pan, bez ogródek — prawdę! Zresztą poznam natychmiast, jeżeli pan zechcesz coś przede mną ukryć! Więc proszę.

Przykro mi, że tak źle o mnie myśli; boję się, że odstręczy ją to ode mnie, nie może przeto znieść podejrzenia, jakie ma co do mego życia. Pragnę ukazać się w jej oczach czystym, godnym jej względów, udowodnić jej, że siedzi obok człowieka czystego jak anioł. Boże, panie mój, bo też na palcach upadki w mojem życiu wyliczyć mogłem!

Opowiadam więc wszystko, a opowiadam czystą prawdę. Nie przesadzam ani o źdźbło; nie pragnę bynajmniej wzbudzić w niej współczucia: przyznaję też, że pewnego wieczora skradłem był pięć koron.

Ona siedzi i słucha z otwartemi ustami, blada, strwożona, z błyskiem śmiertelnego lęku w oczach. Chcę zatrzeć smutne wrażenie, jakie na niej sprawiłem, wstaję tedy i mówię:

— Ale wszystko to już przecież minęło, dzisiaj o czemś podobnem mowy być nie może: teraz jestem pewny siebie na długo.

Ona pomimo to jest w rozpaczy: Boże zlituj się! — woła wreszcie i znowu milknie, poczem powtarza krótko, urywkowo, w długich przestankach: Boże, zlituj się!

Zaczynam żartować, łaskoczę ją, tulę do piersi.

Ona ociąga się — bardzo słabo, co prawda — i spogląda na mnie ze zdumieniem.

— Więc... czegóż pan chce? — pyta.

...Czego chcę?

A to dobre! Pyta, czego chcę! Chcę być *nie* idyotą! Chcę mieć odwagę *nietylko* z daleka! To że mój system! Strachy na lachy! Brew ściągnięta już z toru mnie nie sprowadzi! Bynajmniej nie jestem nieśmiały!

— No nie... ale...

— Przeciwnie! — odpowiadam — to właśnie jest moim zamiarem!

Howitt. Zamieszkując stale ląd N. Holandyi, poświęcił on się od wielu lat poznaniu ustroju społecznego tubylców. Wraz z Lorimerem Fisonem ogłosił w 1880 r. cenne dzieło *Kamilaroi i Kurnai*, będące owocem sumiennych a wieloletnich poszukiwań nad życiem społecznem dwóch plemion australskich. Od tego czasu nazwisko Howitta wciąż wypływa w piśmiennictwie etnograficznem. Niema prawie ani jednego rocznika *Czasopisma londyńskiego instytutu antropologicznego*, w którem ten autor nie pomieściłby jakiejś, mniejszej lub większej rozprawy. Rozpatruje on tutaj wierzenia i podania, święta dojrzałości obywatelskiej, organizacyę społeczną, urzędy i dostojników życia gromadzkiego australczyków. Wreszcie świeżo, nakładem królewskiego Instytutu w Wiktoryi, wyszła nowa praca jego *O organizacyi plemienia australskiego*. Całość tych rozpraw i dzieł posiada olbrzymie znaczenie naukowe i stawia Howitta obok Morgana. Ale kiedy badacz amerykański nie poprzestał jedynie na nagromadzaniu faktów, lecz uczynił jeszcze krok dalej, bo uogólnił je i napisał pracę socyologiczną o rozwoju dróg, któremi kroczyła ludzkość, Howitt nie wyszedł dotychczas po za N. Holandyę i zbieranie materyału surowego. Poszukiwania jego posiadają tem doniośléjszą wartość, że plemiona lądu australskiego zajmują wśród tegoczesnej ludzkości najniższy szczebel rozwoju i są jakby najodleglejszem zakrzepnięciem stanów społecznych naszych pradziadów. Potrącając o Howitta, winniśmy zaznaczyć, iż wogóle Australia od niejakiego czasu jest widownią nadzwyczaj gorliwych a systematycznych poszukiwań etnograficznych, z których socyologia odniesie kiedyś korzyść znaczną. Działalność Morgana była tutaj nader silną pobudką. Badacz ten, dla uzupełnienia swoich spostrzeżeń nad czerwonoskórymi Ameryki północnej, rozesłał odpowiednie kwestyonaryusze do rozmaitych osób w Australii i Polinezyi. Między innemi trafiły one do Howitta, który pod ich wpływem rozpoczął swoje poszukiwania etnograficzne i wraz z Fisonem nadzwyczaj skrzętnie rozpowszechniał je dalej. Monografie: Ridleya nad kamilarojami, Taplina nad nerrinyerjami, Gasona nad dijeriami wykazują jasno ślady tego oddziaływania. Z drugiej znowu strony władze różnych prowincyj Australii, widząc szybkie wymieranie tubylców, wzięły się gorliwie do zebrania różnych dokumentów o tym wygasającym szczepie ludzkości. Ich staraniem, a pod redakcyą niejakiego Curra wyszło wielotomowe dzieło *Rasa australska*, będące zbiorem wiadomości o istniejących jeszcze na lądzie australskim plemionach; władze znowu N. Południowej Australii wydały zbiór monografij o plemionach ze swego obszaru.

Korzystając z tych rozmaitych prac, skreślimy ustrój społeczny australczyków, a przynajmniej te jego cechy, które mogą rzucić światło na pierwociny społeczne ludzkości.

Mocno omyliłby się ten, ktoby zawierzył zwykłym podręcznikom etnografii i uważał ludność lądu australskiego za masę jednolitą pod względem zwyczajów. Przeciwnie, źródłowe badania, o których wspomnieliśmy, dowodzą, że chcąc wyczerpać stosunki tubylcze, należałoby podać tyle monografij, ile tam istnieje niezależnych od siebie grup plemiennych. Ludność N. Holandyi w chwili przybycia europejczyków wahała się prawdopodobnie pomiędzy 150 a 300 tysiącami głów i rozpadała się na wielkie mnóstwo samodzielnych społeczeństw, mówiących odmiennymi językami i to tak daleco, że ich niepodobna niekiedy sprowadzić nawet do wspólnego pnia. „Co do liczby języków w Australii — mówi Curr — możemy otrzymać dane jedynie przybliżone. W swojem dziele nagromadziłem wzory przeszło 200 języków zgoła odrębnych, które chociaż posiadają niekiedy wspólne słowa, są przecież tak dalekie od siebie, jak hiszpański i portugalski. Zważywszy, iż badania moje objęły zaledwie połowę lądu i że nie otrzymałem żadnych słowników od jakichś 50 plemion, można liczbę języków australskich ocenić w przybliżeniu na 500.“ Przyjmując najwyższą cyfrę dla ludności australskiej, bo 300 tysięcy głów, otrzymamy wtedy na podstawie wywodów lingwistycznych Curra, że pojedyncze plemię, a raczej grupa lingwistyczna, nie liczyło więcej przeciętnie, niż 600 głów. Naturalnie niektóre szczepy znacznie przewyższały tę cyfrę, możemy np. wskazać kilka plemion, liczących z górą 3,000 przedstawicieli; natomiast inne nie posiadały i dwustu osób. Takie nieliczne plemię, mówiące odmiennym językiem, posiadało też własne, zazdrośnie strzeżone terytoryum i stanowiło zamkniętą w sobie całość społeczną, wrogą wszelkiej innej. Nie należy wszakże mniemać, jak to się zwykle czyni pod wpływem uproszczeń i szematów socyologicznych, aby te społeczeństwa posiadały jednaki ustrój. Przeciwnie, znajdujemy tutaj takie sprzeczności, że niepodobna znaleźć większych w zakresie całej istniejącej dzisiaj cywilizacyi, zarówno aryjskiej, jak mongolskiej. Biorąc do rozpatrzenia mapę socyologiczną Australii, dołączoną do jednej z ostatnich prac Howitta, spostrzegamy na przestrzeni zbadanej, a wynoszącej zaledwie około jednej trzeciej całej powierzchni lądu australskiego, aż sześć rozmaicie zakreślonych obszarów, będących siedliskami każdy zgoła odmiennego ustroju społecznego. Rozejrzmy się w nich. Plemię barkindżów posiada najprostszą budowę społeczną i przedstawia jakby zarodek, z którego powstały z czasem inne ustroje społeczne Australii. Opiera się ona na zasadzie „klas płciowych.“ Wyobraźmy sobie społeczeństwo, liczące co najwyżej 2—3 tys. osób, a żyjące na przestrzeni trzech lub czterech gubernij Królestwa. Rozpada się ono na dwa działy; nadajmy im nazwę Warszawy i Pragi. Warszawiacy noszą wszyscy tę samą nazwę klasową, zarówno jak prażanie ze swej strony; podobnie warszawianki i prażanki posiadają odpowiednie nazwiska zbiorowe. Mamy zatem 4 klasy, dwie męzkie i dwie żeńskie. W zasadzie każdy warszawiak jest mężem każdej prażanki, do której podczas pewnych uroczystości mówi przy spotkaniu „żono“ i spełnia wtedy obowiązki małżeńskie. Innemi słowy, warszawiacy z jednej strony, prażanki z drugiej stanowią grupy, będące wzajemnie względem siebie zbiorowymi małżonkami. W podobnym stosunku do siebie stoją prażacy i warszawianki. Natomiast wszelkie obcowanie małżeńskie pomiędzy warszawiakami a warszawiankami, prażakami a prażankami jest surowo zabronione, są to zbiorowi bracia i siostry plemienne, jakkolwiek z naszego punktu widzenia nie znajdują się w żadnem niekiedy pokrewieństwie. Dziecko dziedziczy kla-

---

— Nie, słyszysz pan, nie! — krzyknęła. I dodaje obrażające słowa: Gdzież pewność, że pan nie jesteś waryatem!

Mimowoli przez chwilkę stoję bez odpowiedzi, wreszcie przemawiam:

— Przecież pani nie myśli tak na seryo!

— Owszem, Bóg mi świadkiem, pan tak dziwnie wyglądał.. A w owo przedpołudnie, kiedy pan za mną chodziłeś, czy i wtedy nic nie miałeś w głowie?

— Nie, nawet głodny podówczas nie byłem, jadłem przed spotkaniem się z panią!

— Więc tem gorzej!

— Czy byłoby pani milej, gdybym wtedy był pijany?

— Tak! Och, boję się pana! Ależ na miłość Boga, niechże mnie pan puści!

Wyrywa się z dziwną energią, która chyba nietylko ze wstydliwości pochodzić mogła. Niby od niechcenia przewracam świecę, która gaśnie.

Podnosi się i drżącą ręką na nowo ją rozpala; opieram się plecami o poręcz kanapy i milczę. Cóż teraz nastąpi? Czuję się jakoś nieswój...

Ona spogląda na ścianę, na zegar i zrywa się przestraszona.

— Ach, służąca niebawem nadejdzie!

Oto pierwsze słowa, które przemówiła.

Zrozumiałem ich znaczenie i wstaję. Ona bierze płaszczyk, tak, że zdawać by się mogło, iż ma zamiar włożyć go na siebie; po krótkim jednak namyśle składa go i zbliża się do kominka. Blada jest i coraz bardziej niespokojna. Nie chcąc, ażeby wyglądało, iż ona mnie wyrzuca, pytam:

— Ojciec pani był wojskowym?

Jednocześnie zabieram się do wyjścia.

— Tak jest. Skądże pan o tem wiesz?

— Nie wiem! Tak mi to jakoś na myśl wpadło.

— To dziwne!

— Tak! Czasem miewam chwile jasnowidzenia. Ha, ha, to także jeden z pierwiastków mego waryactwa...

Rzuca na mnie przelotne spojrzenie, nic jednak nie odrzeka. Czuję, że obecność moja jest jej przykrą, staram się więc jaknajrychlej niemiłą tę sytuacyę zakończyć. Zbliżam się do drzwi. Więc nie pocałuje mnie nawet na pożegnanie? Nawet ręki mi nie poda?.. Stoję i czekam.

— Pan już idzie? — pyta, stojąc jeszcze wciąż przy kominku.

Nic odpowiadam. Zmieszany, upokorzony stoję przed nią bez słowa.

Więc było mnie zostawić w spokoju, skoro wszystko na niczem skończyć się miało. Czemże więc jestem w tej chwili? Zdawało mi się, że rozstanie ze mną żadnego na niej nie czyni wrażenia. Straciłem ją nagle... Szukam słów, aby jej to jeszcze powiedzieć przy pożegnaniu; szukam wyrazu o głębokiem, przejmującem znaczeniu, wyrazu, któryby ją dotknął, a może i zaimponował jej troszkę. I wbrew własnemu postanowieniu, zamiast chłodu i dumy, okazuję ból, niepokój, urazę; zaczynam pleść rzeczy niestworzone; owego słowa, którem pragnę ją zmiażdżyć, znaleźć nie mogę! Doznaję w tej chwili dziwnego ubóstwa myśli.

Dlaczegóż nie powie wyraźnie, abym się raz już wreszcie wyniósł?—pytam. Tak, tak, dlaczego nie powie? Po co się tu krępować? Zamiast przypominać, że służąca niebawem do domu wraca, mogła przecież nadmienić: Proszę się zabierać, ponieważ idę po mamę, a nie życzę sobie, aby mi pan w drodze towarzyszył! Nie przyszło jej to na myśl? O, bardzo proszę, właśnie to samo myślała — zmiarkowałem odrazu, w pierwszej chwili! Mądrej głowie dość jednego słowa. Sposób, w jaki schwyciła, a następnie położyła płaszczyk, dostateczną był mi już wskazówką! Jak powiedziałem, miewam chwile jasnowidzenia. A w gruncie rzeczy niema w tem znowu tyle waryactwa!..

— Ależ na Boga! Niechże mi pan raz wreszcie słowo to przebaczy! Tak mi się tylko wyrwało! — prosi.

Lecz do mnie się nie zbliża, wciąż stoi jeszcze na tem samem miejscu.

Niewzruszony w tym samym duchu prawię dalej. Gadam bez przestanku, mimo przykrej świadomości, że ją nudzę, że ani jeden z argumentów moich w sedno nie trafia. Prawię bez tchu dalej. Właściwie można mieć usposobienie dość wrażliwe, a nie być koniecznie waryatem; tak sądzę; bywają natury, które żyją samymi drobiazgami; jedno twarde słowo częstokroć o śmierć je przyprawia. Następnie daję jej do zrozumienia, że ja właśnie do rzędu takich natur należę... Bieda mianowicie pewne zdolności mego ducha zaostrzyła w tym stopniu, iż nieraz staje się to właśnie przyczyną wielu nieprzyjemności, poprostu nieprzyjemności — niestety! Ale ma to też i dobrą stronę: pomaga mi zwalczać niejedną sytuacyę. Inteligentny biedak jest spo-

sę swoją po matce, syn warszawianki będzie warszawiakiem, córka — warszawianką. Jak wykazały poszukiwania Howitta, z ustroju barkindzkiego rozwinęły się inne, bardziej złożone społeczeństwa australskie. U barkindzów warszawiak jest mężem każdej prażanki, a zatem zwyczaj nie stawia żadnych przeszkód do zawarcia związków małżeńskich pomiędzy ojcem a córką, gdyż należą oni wzajemnie do żeniących się klas. Ustrój kamilarojski zapobiega już temu Warszawa i Praga rozpadają się u kamilarojów i kilku innych plemion każda na dwa poddziały, dajmy na to, iż Warszawa składa się z Leszna i Tamki, Praga ze Starej i Nowej. Będziemy mieli wtedy 8 klas płciowych, cztery męzkie i tyleż żeńskich. Grupa kobiet, należących do poddziału Leszno, jest zbiorową żoną mężczyzn z poddziału Stara Praga — lecz nikogo więcej. Dzieci, zrodzone z tego małżeństwa, wchodzą do składu Warszawy, lecz noszą już inne nazwy klasowe, nie takie, jak u matek, a mianowicie należą do poddziału Tamka; podobnie dzieci staroprażanek, spłodzone z mężczyznami poddziału Leszno, noszą nazwę nowoprażaków i nowoprażanek. Mężczyźni z Tamki są mężami nowoprażanek; dzieci zaś wracają do poddziału babek ze strony matczynej, tj. do Starej Pragi; kobiety zaś są żonami nowoprażaków i potomstwo należy odpowiednio do Leszna. Słowem, mamy tutaj, podobnie jak u berkindzów, do czynienia ze zbiorowymi mężami i żonami, lecz z tą różnicą, że dzieci należą do poddziałów innych, niż rodzice, wnuki zaś do tych samych, co dziadowie. Dla ojca uniemożliwiony więc zostaje związek małżeński z własną córką, gdyż oboje należą już do klas nieżeniących się, lecz teoretycznie może on jeszcze poślubić własną wnuczkę. Ustrój waramungów, trzeci z kolei, zapobiega temu. Mamy tutaj aż 8 poddziałów, 16 zaś klas płciowych. Dzieci pewnej kobiety noszą odmienną nazwę od rodziców, dzieci jej córek jeszcze inną, wnuczek — znowu inną i dopiero praprawnuki wracają do nazwy swoich praprababek, aby w potomstwie swojem znowu rozpocząć tę samą kolej. A zatem mężczyzna ze swoich potomków w linii zstępnej mógłby zaślubić dopiero praprawnuczkę, gdyż nosi ona imię klasowe, względem którego posiada on prawa małżeńskie. Jak widzimy, rozwój tych systemów społecznych odbywa się pod wpływem dążności do wyrugowania stosunków płciowych pomiędzy mężczyzną a jego zstępnem potomstwem żeńskiem. Rzecz ciekawa, że istnienie takiego lub innego z owych ustrojów jest zależne od bogactwa środków utrzymania. Barkindżowie mieszkają w okolicy niezmiernie jałowej i życie ludzkie trwa tutaj względnie krótko; tymczasem kamilaroje zamieszkują obszary zasobniejsze w żywność i prawdopodobieństwo, że ojciec zdoła zaślubić swoją córką, staje się większem wobec znaczniejszej długości życia. System społeczny winien właśnie temu zapobiedz.

Powyżej rozpatrzone organizacye Howitt nazywa „normalnemi.“ Związki małżeńskie są tu, przynajmniej w zasadzie, zbiorowo-komunistyczne, chociaż praktyka daleko odbiega od tego teoretycznego założenia. Plemię bowiem jest zmuszone żyć drobnemi hordami, rozproszonemi niekiedy na bardzo znacznej przestrzeni. Tego rodzaju warunki topograficzne stają naturalnie na zawadzie stosowaniu związków zbiorowych. Małżeństwo jest więc faktycznie parzystem i składa się zwykle z dwojga osób. Obcowanie zaś zbiorowe następuje jedynie podczas uroczystości plemiennych, kiedy różne hordy zbiorą się w to samo miejsce. Lecz w obu razach stosunki płciowe są uważane jako rzecz najnormalniejsza i nikomu na myśl nie przyjdzie rozprawiać o jakiejś wstrzemięźliwości, chyba że pod to pojęcie zechcemy podciągnąć zakazy związków „kazirodczych“ pomiędzy odpowiedniemi klasami. Małżeństwo jest może zanadto aktem publicznym u tych australczyków. Zgoła inny widok przedstawia się nam w ustroju kurnajów, plemienia, liczącego niegdyś do 1,600 przedstawicieli. Działów w rodzaju Pragi, Leszna, Tamki tutaj nie spotykamy. Wszyscy mężczyźni posiadają jedną, a kobiety inną nazwę ogólną, tak iż synowie noszą imię klasowe ojca, córki — matki, a zatem dziedziczenie odbywa się jednocześnie w linii męzkiej i żeńskiej. Lecz co najdziwniejsza, zawarcie małżeństwa uchodzi u kurnajów poniekąd za sprawę ohydną, publicznie prześladowaną; w ten sposób gdyby przestrzegano ściśle etykę plemienną, plemię kurnajskie wygasłoby już w drugiem pokoleniu. Zwyczaje nietylko nie ułatwiają zawierania związków, lecz przeciwnie utrudniają je wielce. Młodzieniec zaleca się do dziewczyny pokryjomu, wreszcie umawia się z nią i ucieka. Horda udaje się w pogoń i jeśli złapie zbiegów, obchodzi się z nimi bardzo surowo, bo niekiedy pan młody przepłaca śmiercią tę swoją „zbrodnię.“ Natomiast jeśli para uciekająca wyśliznie się szczęśliwie, ma prawo po kilku miesiącach powrócić, wprawdzie witana obelgami i kijami, lecz pozostawiana w spokoju co do swojego związku małżeńskiego. O prawie zbiorowego małżeństwa ani słychać. Zaiste, społeczeństwo kurnajskie przedstawia widok nienormalny wśród ludzkości, gdyż nawet obłąkańcy ascetyzmu średniowiecznego nie posunęli się tak daleko w swej walce przeciwko żądzy cielesnej. Wykazanie rodowodów takiego dziwnego ustroju jest wielką zasługą Howitta. Mianowicie przedstawmy sobie, że kilkanaście osób z ustroju barkindzkiego lub kamilarojskiego zostało oddzielonych w jakikolwiek sposób na zawsze od swego plemienia. Wypadki takie zdarzają się na każdym kroku w życiu australskiem, nasz etnograf sam je spotykał. Niech w ciągu dalszym owa garstka składa się z ludzi, nieposiadających prawa wstępowania z sobą w związki małżeńskie. Lecz popędy płciowe żyją w nich, a ponieważ, dzięki wrogiemu stosunkowi do otaczających plemion, nie mogą być zaspokojone przez związki małżeńskie z obcoplemieńcami, doprowadzają zwolna do kazirodztwa, jednocześnie prześladowanego i tolerowanego. Plemię rozradza się tą drogą, zawiera związki małżeńskie, lecz zarazem wyklina je...

Po za nienormalnym ustrojem kurnajów istnieją jeszcze w Australii inne, z których najbardziej zasługujący na uwagę ochrzcimy nazwą „siczy“ australskich, biorąc pobudkę ku temu ze wzorów siczy zaporozkiej. Ciągną się tam pasy nader jałowej ziemi, istne okolice wyklęte. Są one przytuliskiem wygnańców z rozmaitych plemion. Każdy taki tułacz mówi odmiennym językiem, urodził się w innem społeczeństwie. Teraz żyją wszyscy w tej samej okolicy, jako wrogowie tradycyjni, a jednocześnie jako sojusznicy. Zwolna, pod wpływem warun-

---

strzegaczem daleko subtelniejszym, aniżeli inteligentny bogacz. Biedak ogląda się co krok, nadsłuchuje podejrzliwie, zwraca uwagę na każdy szept ludzki; każdym więc ruchem swoim zadaje myślom i uczuciom pewną pracę, trud pewien. Słuch posiada delikatny, uczucie tkliwe, doświadczenie niemałe; duszę jego pokrywają rany, jakby po sparzeniu...

I długo prawię o sparzeliznach, które i moją pokrywają duszę. Im dłużej mówię, tem większy zauważam w niej niepokój; wreszcie jakby w rozpaczy szeptem powtarza kilkakrotnie: Boże mój! — przytem załamuje ręce. Widzę, że ją męczę, nie chcę jej męczyć, a czynię to mimowoli. Wreszcie wydaje mi się, że w ogólnych zarysach powiedziałem jej mniej więcej wszystko, co miałem do powiedzenia; rozpaczliwe jej spojrzenie wzrusza mnie, więc wołam:

— No idę, idę już! Czyż pani nie widzi, że ręka moja spoczywa na klamce? Bądź mi pani zdrową! Bądź zdrową! Mogłabyś mi doprawdy odrzec coś na dwukrotne: bądź zdrowa! — skoro w dodatku gotów już jestem zupełnie do odwrotu. Nie proszę nawet o pozwolenie widzenia pani, bo i to przykrość by ci sprawiło! Ale niech mi pani powie, po co mnie właściwie zaczepiłaś? Cóż ja ci złego zrobiłem? Przecież w drogę pani nie wchodziłem, co? Dlaczegóż teraz nagle się ode mnie odwracasz, jak gdybyś mnie nigdy przedtem nie znała? Zraniłaś mnie tak boleśnie, że teraz nędzniejszym jestem, niż byłem kiedykolwiek poprzednio... A przecież, wielki Boże, waryatem nie jestem! Pani najlepiej wiesz, że na umyśle zdrów jestem zupełnie!.. Więc niechże się pani zbliży i poda mi rękę! Albo też, może ja mam się przybliżyć? Czy mogę? Nic złego pani nie wyrządzę; na chwilkę tylko przed panią uklęknę, tam na ziemi przed panią, na chwilkę tylko! Czy mogę? Nie, nie — więc nie uczynię tego, widzę przecież, że się pani lękasz; nie uczynię tego, nie uczynię tego, czyż pani nie słyszysz? Boże mój, i dlaczegóż pani taka zrozpaczona? Stoję przecież na miejscu, ani drgnę nawet!.. Byłbym tylko klęknął chwilkę na dywanie, tam, na tem czerwonem polu, u stóp pani! Lecz pani się boi; natychmiast po oczach poznałem, że się boisz; to też zostałem na miejscu. Prosząc, nie postąpiłem ani na krok, nieprawda? Stałem równie nieruchomie, jak teraz, gdy oto wskazuję pani miejsce, na którem byłbym klęknął: ot tam, gdzie czerwona róża na dywanie! Nawet palcem jej nie wskazuję, wcale nie wskazuję; i tego unikam, byle tylko pani nie niepokoić. Ot, głowę podnoszę teraz w tym kierunku — tak! I pani wiesz doskonale, którą to różę mam na myśli, tylko pozwolić nie chcesz, abym tam właśnie klęknął! Pani się mnie boisz, nie śmiesz przystąpić do mnie. Nie pojmuję, jak pani ma serce nazwać mnie waryatem! Nieprawda, że sama już w to nie wierzysz! Raz w lecie — dawno już temu — zwaryowałem był istotnie: pracowałem podówczas nadmiernie i ilekroć miałem coś do obmyślenia, zapominałem chodzić w południe na obiad. Powtarzało się to codziennie; powinienem był pamiętać o sobie, a jednak nie pamiętałem nigdy! Bogiem się świadczę, że prawdę mowię! Niech tu zaraz padnę, jeżeli kłamię! A teraz osądź pani, jak mnie krzywdzisz! Żyłem tak nie z nędzy— mam bowiem kredyt, wielki kredyt u Ingebreta i Gravesena — nieraz miałem dużo pieniędzy przy sobie, a jednak nie kupowałem sobie jedzenia, bo zapominałem o własnej potrzebie! Czy słyszysz pani? Milczysz, nie odpowiadasz, nie ruszasz się od tego kominka, stoisz, wyczekując, aż pójdę...

Zbliża się do mnie szybkim krokiem i dłoń mi podaje. Patrzę na nią wzrokiem pełnym podejrzenia. Czy czyni to z wolnej woli, czy też tylko, aby się co prędzej natręctwa mego pozbyć? Zarzuca jedną rączkę na moją szyję, oczy jej błyszczą łzami. Ja stoję i spoglądam na nią. Podaje mi usteczka do pocałowania: nie wierzę jej; poświęca się pewnie, byle tylko prędzej celu swego dopiąć...

Słyszę szept, coś jakby słowa: A mimo to wszystko kocham pana! Szept to jakiś cichy, niewyraźny... Może źle słyszę, może nie te zawierał zgłoski; przez chwilę silnie tuli się do mojej piersi, wspina się lekko na paluszkach i obie rączki zarzuca mi na szyję. Tak pozostaje przez całą może minutę.

Jestem w obawie, czy nie zmusza się do tej pieszczoty, mówię przeto tylko:

— Jaka pani piękna!

Nadto ani słowa. Obejmuję ją namiętnie, cofam się, jednem pchnięciem otwieram drzwi i wychodzę. A ona zostaje w pokoju.

(D. c. n.).

ków życia, wytwarza się pomiędzy nimi ściślejsza łączność, ukazuje się język, będący mechanicznym zlepkiem przyniesionych mów, występuje szczególny ustrój społeczny, będący jakby umową społeczną nieszkodzenia wzajemnego sobie, lecz też i niepomagania. Małżeństwo jest zawiązane za pomocą umyczki, tj. wykradania kobiet wbrew ich woli, z ukrycia. „Plemię,“ jeżeli o niem w sieży takiej można mówić, nie posiada żadnej organizacyi, jest sumą arytmetyczną jednostek, nie zna też żadnych uroczystości plemiennych, nie ma obrzędów uobywatelenia młodzieży, słowem, przedstawia jakby złagodzony ideał anarchii, gdzie każdy chodził samopas.

Wreszcie winniśmy wspomnieć jeszcze o jednym ustroju społecznym australskim: rodowym. Już wspomnieliśmy, iż plemię żyje pojedynczemi hordami zmuszone do tego przez warunki bytu. Każda taka horda składa się z osób najrozmaitszych klas i zajmuje zawsze to samo terytoryum. Ponieważ żona w związku indywidualno-małżeńskim udaje się do siedziby męża, przeto dzieci polują na gruntach, na których żył rodzic płci męzkiej. W ten sposób obok dziedziczenia nazwy klasowej w linii żeńskiej, mamy jednocześnie dziedziczenie własności ziemskiej przez hordę w linii męzkiej. Synowie, lubo noszą imię klasowe odmienne od ojcowskiego, koczują jednak na posiadłościach hordy ojcowskiej. Horda taka, posiada własną nazwę, oznaczającą ogół osób żyjących na tym samym obszarze geograficznym, którą zapożycza już od rzeki, jeziora, gór, to znowu od położenia tej okolicy względem innych, wreszcie od zwierząt lub roślin. Słowem, obok organizacyi klasowej, regulującej związki małżeńskie, powstaje inna terytoryalna, wynikająca z konieczności materyalno-topograficznej i regulująca wzajemne stosunki pomiędzy hordami. Równolegle z tem, obok nazwisk klasowych mamy jeszcze inne, wskazujące do jakiej hordy człowiek należy. Pierwszą dziedziczy się po matce, drugą po ojcu. Mamy tedy zarodki prawa ojcowskiego już w koczowniczo-myśliwskim trybie życia! Ponieważ liczba przedstawicieli rozmaitych nazwisk klasowych w hordzie jest niejednakowa, może się zdarzyć, iż pozostaną z czasem tylko jednoklasowcy. Wtedy związki małżeńskie z konieczności muszą być zawierane na zewnątrz. Hordy staną się podówczas grupami, żeniącemi się wzajemnie na zewnątrz siebie, a nazwy terytoryalne hordy zleją się z klasowemi. Horda zamieni się na ród, jaki spostrzegamy u czerwonoskórych Ameryki północnej. W Australii mamy właśnie do czynienia z różnemi stanami przejściowemi pomiędzy ustrojem, opartym na zasadzie płciowej, a rodowością amerykańską, aż do okazów, gdzie klasy zupełnie już się zatarły.

Naturalnie, poprzestaliśmy na najogólniejszych wynikach poszukiwań Howitta. Brak miejsca nie pozwala zapuszczać się nam w różne szczegóły, jakkolwiek mogłyby być one nader ciekawe. Podobnie nie możemy z tego samego powodu zatrzymywać się nad innemi stronami australskiego życia społecznego. Zaznaczamy tylko jeszcze jedno. Ląd australski, mimo że ludność jego w najlepszym razie nie przewyższa 2—3 setek tysięcy głów, przedstawia nam w najwyższym stopniu różnobarwną mozajkę ustrojów społecznych. Naprzód mamy tutaj rozmaite społeczeństwa, oparte na zasadzie klasowo-płciowej, a zezwalające na związki zbiorowe pomiędzy płciami, przytem tu i owdzie dziedziczenie nazwiska odbywa się już w linii męskiej. To znowu znajdujemy najczystszej postaci ustroje rodowe, z mniejszym lub większym ograniczeniem grona małżeńskiego; z jeszcze widocznymi lub już zupełnie zatartymi śladami klas płciowych, z pochodzeniem niekiedy w linii męzkiej, to znowu żeńskiej. W dalszym ciągu spostrzegamy ustroje w rodzaju kurnajskiego lub sieże zbiegów, tolerujące jedynie małżeństwo parzyste, a zawierające je nie drogą normalnej umowy, lecz za pomocą kradzieży lub umyczki. A jednakże, musimy dodać, obraz ten nie wyczerpuje jeszcze rozmaitości społecznej lądu australskiego! To wskazuje nam, jak ostrożnie winniśmy przyjmować różne szematy, np. Karola Letourneau, przeciwstawiające społeczeństwo „australskie“ „mongolskiemu“ lub „murzyńskiemu“ i jak mało dowierzać różnym opisom, traktującym np. australczyków lub murzynów jako zwartą i jednolitą masę pod względem społecznym. Pierwotne społeczeństwo, to niewielka grupa ludzi, posiadająca własny język, wroga każdemu sąsiedniemu odłamowi ludzkości, posiadająca odrębny nawet ustrój społeczny, że nie mówimy o pojęciach religijnych. „Postęp“ polega na zmniejszeniu tej różnobarwności, zmniejszeniu liczby samodzielnych języków, ujednostajnieniu zasad społecznych, wierzeń religijnych.

Lud. Krz.

TEORYA SNÓW.

Wielkie zainteresowanie w całym świecie myślącym wywołała teorya snów Yvesa Delage'a, przedstawiona niedawno w *Revue scientifique*. Nawet pisma, unikające badań naukowych, zapoznały z nią w krótkości swoich czytelników. Autor odpowiada na pytanie, dlaczego pewne wrażenia osiągnięte z jawy dostarczają treści marzeniom sennym, inne zaś — nie. Zwraca on przedewszystkiem uwagę na to, że te obrazy, myśli, wrażenia, które na jawie wysoce zaprzątały umysł, zwykle nie odbijają się w snach. Wypadki, których ślad w pamięci jest jeszcze świeży, idee nie ostygłe, wrażenia uświadomione dokładnie i jeszcze niezatarte innemi — nie podsycają działalności uśpionego mózgu. Jeśli się zaś zdarza, że przedmiotem jego marzeń we śnie jest fakt, który był uświadomiony lub nawet wstrząsnął nami i głęboko wyrył się w umyśle, bywa to dopiero po upływie pewnego czasu, gdy fakt ów zeszedł w myślach na plan dalszy i został nieco zapomniany. Bardzo smutne lub bardzo radosne wydarzenia z naszego życia nie przewijają się w marzeniu sennem, gdy świeży jest ból lub radość, jaką wywołują. Nawet w rocznicę podobnego zdarzenia — ponieważ wówczas pamięć na jawie odświeża szczegóły jego — sen omija obrazy, mające z niem łączność, może natomiast nasunąć je kiedyindziej — niespodzianie. Zakochani nie oglądają w snach swych wybranek, następuje to dopiero wtedy, gdy uczucie zobojętniało i myśli rzadziej szukają osoby, która niegdyś zaprzątała je wyłącznie. Usiłowanie też wywołania jakiegoś snu za pomocą usilnego myślenia o pewnym przedmiocie zwykle bywa bezowocne. Słowem— wrażenie i zrodzona z niego idea, która w świadomości długą drogę przebiegła — nie przechodzi do snów.

Objawów bezprzyczynowych jednak nie ma. Sen posiada zawsze swą pobudkę, która nie może się mieścić gdzieindziej, jak tylko w szeregu wrażeń realnych. Marzenie senne nie jest jakimś nowym wytworem pracy mózgowej, lecz wspomnieniem, mniej lub więcej dokładnie wskrzeszonem, albo rozsnutem w obrazy wrażeniem z liczby otrzymanych na jawie. Skoro nie znajdujemy pobudek ich pośród wrażeń, jakie za dnia zdołaliśmy już przetrawić i pochłonąć, ani pośród myśli, które na jawie okwitły i wydały owoc, zatem szukajmy w innych szeregach. Te np. niewyraźne, słabe, na pół nieświadome wrażenia, odbierane podczas samego snu, jakże często wywołują rozmaite sny. Wzrok, słuch, dotyk, powonienie doprowadzają je do mózgu uśpionego, który w sposób niekiedy dziwaczny, ponieważ nie kontrolowany przez logikę, kojarzy je ze wspomnieniami i rozsnuwa cały szereg obrazów, którego realny punkt wyjścia tkwi może w ukąszeniu pchły, albo w ukłuciu słomy z siennika, w słabem uderzeniu dzwonka lub w promieniu światła, który przesunął się po twarzy. Jest to kategorya doraźnych niejako i znanych powszechnie przyczyn snów. Gdzie ich jednak niema — dają się znaleźć inne, przy dokładnem odświeżaniu w pamięci i analizie marzeń naszych.

Tą drogą dochodzi autor do wniosku, że w wielu razach przyczyna snu odnieść się daje do wrażenia, istotnie na jawie odebranego, lecz które w stanie czuwania prawie uszło naszej uwagi i nie zdołało zaprzątnąć umysłu. Weźmy przykład. Jesteśmy— powiada D. — świadkami wypadku, który w wysokim stopniu nas zajmuje, śledzimy uważnie jego przebieg, wypytujemy się o wszystkie okoliczności, jakie się nań złożyły, rozmyślamy nad nim, a wreszcie opowiadamy swe wrażenia innym osobom. Otóż, w tym razie ręczyć można, że fakt ów albo nigdy nam się nie przyśni, albo, nieprędko. Przeciwnie, jeśli od miejsca wydarzenia oddalamy się szybko, starając się usunąć z pamięci wszystko, cośmy widzieli, aby nie rozproszyć uwagi, której potrzebujemy do zwykłych naszych zatrudnień, wówczas bardzo jest prawdopodobne, że fakt, zaniedbany w myślach na jawie, stanie nam przed oczami we śnie. Zasadniczym więc warunkiem do tego, aby wrażenie realne stało się pobudką odpowiednich snów, jest pewien stan roztargnienia umysłowego w chwili otrzymania go lub szybkie odwrócenie odeń uwagi. Ponieważ roztargnienie może być posunięte tak daleko, iż pewne, drugorzędnej wagi wrażenia odbijają się podówczas w umyśle zgoła nieświadomie, nie zostawiając żadnego śladu w pamięci, pojąć więc łatwo, że w wielu razach nie będziemy mogli odszukać pobudki jakiegoś snu, który wówczas pozornie wyda się nam bezprzyczynowym. Czasem jednak i w tym razie natężenie pamięci lub skojarzenie pewnych okoliczności wystarcza, aby marzeniu sennemu przywrócić jego realną pobudkę. Delage potwierdza to wybitnymi przykładami dla których brak nam miejsca, wszystkie zdążają do ustanowienia zasady ogólnej: wrażenia przeistaczają się tym łatwiej na pobudki snów, im mniej były świadome, a żywiej przyjęte przez zmysły.

Tak więc, produkt wrażeń zmysłowych, zużyty na jawie, nie ma mocy wprawiania w ruch mechanizmu snów, natomiast ten posiew, który zebrać i zmleć świadomość i uwaga nasza zaniedbały, dostarcza mu pożądanego materyału. Jakaż tego przyczyna? Wrażenie zmysłowe, doprowadzone do mózgu, obudza szereg wyobrażeń pokrewnych, z któremi znajduje się w związku przyczynowości, współczesności lub podobieństwa, te ze swej strony budzą inne — dzięki podobnym związkom, każde zaś obok tego wywołuje właściwe, mniej lub więcej natężone uczucie — obawy, nadziei, pogardy, gniewu, pożądania itp. Tak więc myśl, której pierwotnym punktem wyjścia było proste, pojedyńcze wrażenie, rozrasta się, przekształca, pomnaża dzięki skojarzeniu z mnóstwem innych. Lecz w miarę jak zyskuje na przestrzeni, traci na natężeniu, wydatkuje energię, zarówno swoją, jak i pokrewnych, przez nią obudzonych, a wreszcie przechodzi w stan spoczynku i bezwładności, z którego kiedyś — przez nowy proces skojarzenia pojęć wydobyta zostanie jako wspomnienie. Taka bywa całkowita ewolucya wrażenia, przenikającego do umysłu. Przebieg jej uprzytomnia powierzchnię wody, na której dokoła miejsca, gdzie upadł kamyk, tworzą się kręgi coraz to nowe i szersze, a wreszcie coraz słabsze. Bieg myśli nie zawsze odbywa się bez przeszkód, zanim bowiem ukończy ona cykl swego rozwoju — potknąć się może o nowe wra-

żenie zmysłowe, które przyciągnie ku sobie naszą uwagę, a wtedy bieg jej zostaje gwałtownie przerwany. Dzięki nieustannej na jawie rywalizacyi wrażeń i pojęć, mnóstwo drugorzędnych i zaledwie poczętych zostaje każdodziennie wstrzymanych w rozwoju. Stosunkowo niewielka ilość ich opanowywa naszą uwagę kosztem wielu innych. Zwyciężono jednak w tej walce myśli nie są jeszcze — zniszczone: żyją, ponieważ nie zdążyły wyczerpać swej energii. Są one tylko zdławione, przygniecione ciężarem tych, którym umysł nasz większą nadał wagę i w tym stanie przypominają ciało elastyczne, skurczone pod naciskiem, a po ustąpieniu jego dążące do odzyskania zwykłych rozmiarów. Podobnież myśl (idea), o ile starczy jej energii, gotowa jest przy sprzyjających warunkach podjąć rozwój przerwany.

Otóż sen jest takim stanem umysłu, który najlepiej sprzyja odżyciu zagłuszonych wrażeń i idei. Napływ bowiem nowych wówczas ustaje, te zaś, które na jawie pochłaniają czynności umysłowe, wyczerpały swą energię, teraz milczą ubezwładnione. Kolej więc przychodzi na te, które za dnia zepchnięte były na plan dalszy. One to usiłują teraz odzyskać swe prawa i dalej prowadzić bieg przerwany. Walka prowadzi się już tylko między temi upośledzonemi i zwycięża wrażenie najsłabsze, myśl najbardziej zagłuszona, ponieważ zapas jej energii nie był wcale naruszony.

Przyznać trzeba, iż rusztowanie tej teoryi wzniesione jest nader dowcipnie, prawem zaś jej bytu jest bardzo zadawalające tłomaczenie mnóstwa faktów. Przedewszystkiem zauważmy — o czem i autor nie zapomina, że słuszności jej wcale nie zapierają takie fakty, na które oponenci nie omieszkaliby się powołać, iż niekiedy silne wrażenie, idea w wysokim stopniu opanowująca umysł na jawie, narzuca się i we śnie naszym marzeniom. Znaczy to tylko, iż zapas jej energii był wielki, dzienna strata nie wyczerpała go, zatem i podczas snu idea ta nie przestaje panować nad innemi, które pozostają w tym stanie przytłumienia, w jakim znajdowały się podczas dnia. Zaznaczmy przytem, że idee, które zdolne są pochłaniać na jawie umysł, dają się podzielić na dwie odmienne kategorye. Jedne narzucają się nam wbrew woli naszej, jak to bywa np. w chwilach jakiegoś wielkiego cierpienia moralnego, opanowują one wszystkie zakątki mózgu, pomimo że je usiłujemy odepchnąć, a te wysiłki — to umyślne utrudnianie biegu myśli przynosi tylko taki skutek, iż zaoszczędza jej energię. Nie jest to więc dziwne, jeśli znajduje ona siłę narzucenia się nam w śnie. Inne natomiast zawdzięczają swą przewagę wielkiemu zainteresowaniu, jakie w nas obudziły. Z temi postępujemy zupełnie inaczej, sami bowiem rozwijamy je chętnie, dopomagając tym sposobem do wyczerpania ich energii i odbierając im zarazem możność dalszej ewolucyi podczas snu. To nam tłomaczy, dlaczego daleko częściej smutne i przykre wrażenia powracają we śnie, niż miłe. Ponieważ pierwsze odpychamy, z góry więc przygotowujemy sobie z nich tematy do przykrych widzeń sennych, pieszczone zaś na jawie drugie, ogałacamy zawczasu z energii, która by im pozwoliła ożyć w snach. Gdyby św. Antoni w dzień mniej się obawiał ponętnych obrazów i śmiało patrzał w oczy pokusom, miałby noc spokojną; odpędzone — wracały we śnie z niepokonanym uporem i zdwojoną siłą.

Wspominaliśmy już, że w umyśle na jawie odbywa się nieustanne kojarzenie pojęć, dzięki któremu w pamięci naszej mogą na wierzch wypływać dawniejsze wrażenia, obrazy i myśli. Jest to potężny wir, który nie dozwala, aby umysł znieruchomiał, a myśli spopielały w zapomnieniu. We śnie proces ten odbywa się również, a nawet powiedzieć można, iż w tym stanie mózg łatwiej jeszcze i liczniej kojarzy pojęcia, dokonywając tego częstokroć w sposób wielce subtelny i zgoła nieprzewidziany, a to dlatego, iż został zwolniony od surowego nadzoru logiki. Jest to więc również ważny czynnik, biorący udział przy wytwarzaniu się snów, on to bowiem zahacza o coraz to nowe pojęcia z pośród tych, jakie zachowały dosyć energii do dalszego kojarzenia i zwykle najniespodzianiej wprowadza je na widownię naszych marzeń. Nie powinno więc nas dziwić, gdy we śnie odżyje dawno zapomniany wypadek, niespodzianka ta bowiem ma z pewnością uzasadniony powód w skojarzeniu wyobrażeń podczas snu tak subtelnem, iż nawet ścieżyn, po jakich biegły one ku sobie, nie potrafimy uprzytomnić sobie w pamięci. Zauważmy przytem, że gdy na jawie obrazy i pojęcia kojarząc się zachowują rzeczywiste swe zarysy i formy, we śnie przeciwnie, mieszają je, przenikając się wzajem i wytwarzając jakieś złożone obrazy tak dziwaczne, że częstokroć pierwiastki ich zapożyczone u rzeczywistości stają się trudne do poznania.

Tak więc sny nasze są dalszym ciągiem, ostateczną ewolucyą wrażeń i wyobrażeń realnych, kojarzących się inaczej, niż w stanie czuwania. Twórcza działalność mózgu podczas snu jest bardzo słaba, wola i sąd krytyczny — nieczynne, myśl błąka się bez celu i kierunku, potrącając kolejno o wspomnienia, które miały dość siły, aby ją na chwilę zatrzymać. Udział wyobraźni w wytwarzaniu się snów jest bardzo mały.

F. M.

PÓŁNOCNE GRANICE
zamieszkanego i zamieszkalnego świata.

II.

Opierając się na powyżej wymienionych podstawach, Hassert wyznacza pas dawniej zamieszkany, a obecnie opuszczony przez eskimów i stawia dalej pytanie, jakie były przyczyny, zmuszające człowieka polarnego do ciągłego ustępowania ku południowi?

Największą przeszkodą do stałego lub czasowego zamieszkania tych ponurych pustyń jest ich niegościnny klimat; a jeżeli w tym względzie niemały wpływ wywiera rosnący wraz z wysokością bieguna ubytek temperatury, to jeszcze większy wpływ wywiera groza długiej nocy polarnej. Już w Smith-Sundzie ciemność panuje prawie cztery miesiące; początek jej bywa oczekiwany ze strachem przez zamkniętych lodami żeglarzy polarnych, a nowe pojawienie się ożywczego słońca obchodzą oni z uroczystością. Wprawdzie eskimowie dość zobojętnieli na te bezpośrednie wpływy klimatyczne, ale ulegają im pośrednio, ekonomicznie, gdyż utrudniają one niezmiernie polowanie i są niebezpieczne dla zwierząt domowych. Nieopatrzność człowieka pierwotnego, głód i choroby przyłączają się do tego i czynią wiele okolic pustyniami.

Zupełna pustynność wielu obszarów, w których znaleziono różne szczątki życia, dała powód do różnych spornych teoryj o zmianach klimatu. Jeżeli pokłady węgla oraz skamieniałości dowodzą, że te zlodowaciałe części naszej planety były w dawnych czasach lepiej pod względem klimatycznym uposażone, to jednak zmiany tego rodzaju, które się dokonały w czasach geologicznych, dla rozbieranej przez nas kwestyi nie mają znaczenia; nam chodzi o zmiany historyczne. Spory pod ostatnim względem nie zostały jeszcze ukończone. Podczas gdy Boas, głęboki znawca krain dalekiej północy, nie uznaje żadnych zmian klimatu, to Cl. Markham, wielka powaga w tych kwestyach, uznaje te zmiany stanowczo. Kane, jeden z najznakomitszych badaczy polarnych, jest tegoż samego zdania: według niego nie ulega najmniejszej wątpliwości, że północno-wschodnia część kanału Kennedy jeszcze w niedawnych czasach przedstawiała korzystniejsze warunki klimatyczne, aniżeli dzisiaj. Kane opiera się mianowicie na podaniach eskimów, którzy pewną miejscowość nadbrzeżną, niezamieszkaną nazywają „zamieszkanem miejscem,“ a pewną zatokę „topniejącem miejscem.“ Eskimowie opowiadali przytem Kanemu, że nad otwartą wodą tamże żywiły się rodziny, a na górach przebywały piżmowce; tymczasem podczas jego obecności w mowie będące miejsca były tak opasane starą, nieprzerwaną ścianą lodową, że łowy nadbrzeżne były niemożebne.

Według tego można zdaje się przypuścić chociaż lokalne zmiany klimatu, tem bardziej, że można znaleźć na to inne jeszcze dowody. Jak lodowce wysokich gór po zimniejszym lub cieplejszym peryodzie posuwają się lub cofają, tak również i lodowce dalekiej północy; między innemi wiele nadbrzeżnych wysepek Grenlandyi uległo blokadzie z powodu posuwającej się pokrywy lodowej z wnętrza tej wyspy. Następnie długo wiejący wiatr, pędząc lody, może zatkać fiordy tak, iż krajowcom nie pozostanie nic innego, jak opuścić osady zbudowane nad niemi, albowiem foki i wieloryby trzymają się przeważnie wody otwartej, a przedarcie się przez lody, opasujące wybrzeże, do wody otwartej jest bardzo trudne i niebezpieczne: dość przypomnieć sobie niesłychane trudy, jakie znieść musiał Markham i jego towarzysze podczas podróży po lodzie, owo wielkie ściskanie się lodów, wypiętrzające je do wysokości 60 stóp, tak, iż przebycie ich równało się wdrapaniu na grzbiety dachów nowojorskich, a wielkie, silnie zbudowane okręty. ulegały zgruchotaniu w niewielu minutach

Znane są dalej z historyi odkryć przykłady, iż żeglarze musieli pozostawić swe okręty w miejscach zimowego schronienia, gdyż lody podczas lata nie puściły. Lata takiego doświadczył okręt Kanego „Advance,“ a wyprawa Belchera, owa duma Anglii musiała w archipelagu Parrego pozostawić prawie wszystkie swe parowce; jednak późniejsze wyprawy przepłynęły tamtędy bez przeszkody.

Ta niestałość stosunków lodowych w połączeniu z tępieniem fauny polarnej zmusza ludy północy do ustępowania ku południowi. Zwierzęta, dostarczające tranu, jedynie umożliwiają stały pobyt człowieka w tych wysokich szerokościach; bez tych zwierząt eskimowie nigdzie istnieć nie mogą. To wyjaśnia nam dziwny na pozór fakt, że Banks-Land i Melville-Islands pomimo piżmowców i reniferów opustoszały. Albo zwierzyna wkrótce nauczy się ostrożności i ukryje w niedostępne miejsca, albo też eskimowie z powodu swej bardzo pierwotnej broni nie są w stanie upolować dostatecznej ilości zwierzyny; skąd przytem wezmą tłuszczu, wystarczającego na ogrzewanie i oświetlanie długich nocy zimowych? A tymczasem w Smith-sundzie i archipelagu Parrego foki nie występują obficie, a jeżeli na niektórych wyspach jest ich większa ilość, to nieprzebyta ściana lodowa nie pozwala z tego skorzystać.

Zjawiska tego rodzaju powtarzają się w większym lub mniejszym stopniu wszędzie na obszarach polarnych, a znużony walką człowiek nie był w stanie trwale stawić im czoła: uległ on w rozpaczliwej walce lub usunął się ku południowi i tylko niekiedy odważa się jeszcze raz wtargnąć ku biegunowi i opuszczoną ojczyznę znowu zaludnić.

Zastanówmy się teraz nad geograficznemi właściwościami północnej granicy obecnie zamieszkanego świata i ich wpływami na życie człowieka polarnego. Kartograficznie ściśle określona linia, dzieląca obszary panowania życia i śmierci, w rzeczywistości nie może być bynajmniej tak ściśle określoną: klęski głodowe, choroby i inne

przyczyny, zmuszające zwierzęta i ludzi do wędrówek, wywołują chwianie się tej granicy, jednakże chwianie to odbywa się tylko w pewnych granicach, podobnie jak chwianie się linii brzegowej wskutek przypływu i odpływu. Tak np. nomadyczne ludy Syberyi posuwają się regularnie w lecie ku północy, w zimie cofają się ku południowi, średnio jednak granica ich zgadza się mniej więcej z granicą lasów, ponieważ polarne ludy Starego Świata głównie z lądu czerpią swe pożywienie. W Nowym Świecie zaś przeciwnie: granica lasów jest zarazem granicą łowieckich indyan od czerpiących w morzu swe pożywienie eskimów.

Zależność człowieka od przyrody swego otoczenia nigdzie może nie objawia się jaśniej, jak na granicy zamieszkanego świata („Oekumene"); zależność ta wyraża się głównie w dwóch zjawiskach: w niemożliwości politycznych utworów, oraz w ciągłych wędrówkach.

Niedostateczność środków pożywienia zmusza człowieka polarnego żyć małemi gromadami na wielkich obszarach; z tego rozproszenia wynika brak spójni politycznej. Małe odosobnione gromady uznają co najwyżej najdoświadczeńszego i najzręczniejszego z pomiędzy siebie za wodza, ale władza jego nie ma wielkiego znaczenia, ponieważ wszyscy członkowie dostają z ubitej zwierzyny po równej części, albo też każdy stara się z całą bezwzględnością zdobyć jaknajwięcej dla siebie. Zamiast poczucia jakiejś solidarności członków jednego silnego związku, ludy polarne prześladują się z zawiścią; to też pierwsi europejczycy, którzy zetknęli się z grenlandczykami, odmawiają im wszelkiej organizacyi państwowej: Zresztą pewną władzę mieli tu kapłani i czarownicy, albowiem pobudzanie i utrwalanie zabobonu tak u ludów pierwotnych, jak i cywilizowanych, jest najlepszym środkiem opanowywania i wyzyskiwania szerokich warstw narodu.

Wędrówki towarzyszą życiu człowieka polarnego od kolebki do grobu, tak, iż pojęcie życia osiadłego jest dlań równoznaczne z największym upadkiem: klątwą Tunguza są słowa: „bodajbyś stał się osiadłym jak rosyanie."

Przedewszystkiem eskimowie odznaczają się swym popędem do wędrówek i jak ci na półkuli północnej, tak żeglarscy polinezyjczycy na południowej tworzą ostatnie forpoczty rodu ludzkiego. Jak jedni z powodu zmarzłego lub pokrytego lodami gruntu, tak drudzy z powodu nieurodzajności skał koralowych są w swem życiu przywiązani do oceanu; jedni rozprzestrzeniają się po archipelagu arktycznym, drudzy po Polinezyi.

(D. n.).

W. N.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY WIEDENSKIE

10 września.

Międzynarodowa wystawa artykułów spożywczych.

Sezon jesienny rozpoczął się w Wiedniu otwarciem międzynarodowej wystawy żywności ze stanowiska hygieny. Jest to wystawa specyalna, która mimo ważności swych przedmiotów dla najszerszych mas, niewiele miała poprzedniczek w Europie. W r. 1889 odbyła się podobna wystawa w Kolonii, lecz wobec równoczesności wielkich wystaw w Paryżu i Hamburgu, nie miała powodzenia. Komitet wystawy wiedeńskiej jednak, złożony ze specyalistów, zdołał stworzyć całość, stojącą na poziomie innych fachowych popisów międzynarodowych. Samo okazanie przedmiotów dziś już nie zadawala publiczności, która pragnie zapoznać się też ze sposobem wytwarzania produktów spożywczych i przekonać się o jakości ich nietylko okiem, lecz także zapomocą podniebienia.

Wystawa obejmuje trzy grupy. W pierwszej umieszczono właściwe wytwory spożywcze, ilustrujące zarazem sposób odżywiania armii na lądzie i na morzu; druga okazuje przybory kuchenne i domowe; trzecia, naukowa, gromadzi przyrządy i materyały statystyczne. Grupa naukowa wykazuje fałszowanie artykułów spożywczych i sposoby ich badania; zapoznaje widza z chorobami, powstającemi wskutek żywności podrobionej lub niedostatecznej, ze skutkami działania pasorzytów roślinnych i zwierzęcych w ciele ludzkiem, wreszcie z jadłem w kuchniach ludowych, więzieniach i innych zakładach publicznych. Grupa pierwsza znów przedstawia wyniki niektórych nowych prób wytwarzania środków pożywienia, np. nieznane dotychczas konserwy kartoflane i artykuły spożywcze, wyrabiane z odpadków kuchennych.

Z powodu tej wystawy odbędzie się w październiku zjazd chemików i mikroskopistów, poświęcających się badaniu środków pożywienia. Materyał, który przedyskutować mają uczestnicy zjazdu, jest tak olbrzymi, że wątpimy bardzo, czy istotnie porozumieć się zdołają i czy wynikiem ich obrad będzie coś więcej nad unormowanie pewnych kwestyj praktycznych.

Grupa naukowa, najbardziej zajmująca dla ludzi, pragnących zapoznać się bliżej z hygieną pożywienia, wiedeńczyków najmniej przyciąga. Za to tłumy oblegają niezliczone szynki i pokoje do śniadań, które urządzono pod dystyngowaną nazwą „Kostlogen," a które na wystawie odgrywają rolę pierwszorzędną. Zdrowego apetytu wiedeńczyków popsuć nawet nie może widok witryny austryackiego Towarzystwa aptekarskiego, gdzie uwidoczniono wszystkie ingredencye, któremi fałszują mąkę, masło, mleko, kawę, piwo, wino, jarzyny i mięso.

Stwosz.

Z GALICYI.

Pokątni doradcy.

Galicya, ów błogosławiony kraj analfabetów *), cieszy się obok innej smutną sławą pieniactwa. Nasi włościanie, kołaczący bezustannie do podwoi Temidy, niemal i w nocy nie wychodzą z sądu. Godzina trzecia rano, a w przedsionkach zastaniesz płótnianki lub kożuchy. Noc głęboka, lecz w izbach sądowych rojno i gwarno, rozprawy bowiem wobec natłoku stron przeciągają się do późna. Wśród tej ciżby dostrzeżesz ciekawie wypytujących się lub pouczających — chałatowców, do których garnie się biedny ludek, jak do swoich wybawców. Ilużby to spraw dało się załatwić zgodnie w domu, ile zakończyłoby się czy to na naradzie gminnej, czy sądem polubownym, czy wreszcie i w sądzie bez straty czasu i znacznych kosztów! Gdy się wda pokątny pisarz, już nie wypuszcza z rąk ofiary, póki nie wyciągnie z niej ostatniego centa, czy ostatniego ziarna lub łachmana. Ci to ludzie bez sumienia uczynili z naszych włościan pieniaczy.

Wprawdzie ustawodawstwo państwowe i krajowe wystąpiło przeciw tym pijawkom, lecz wykonanie przepisu prawnego spotyka w sądach znaczne trudności. W ostatnich czasach podniósł Wydział krajowy wraz z Namiestnictwem głos w tej sprawie. Niestoty, zadowoliły się one wydaniem „okólników" i znów zalegała cisza, którą przerwało tutejsze „Stowarzyszenie kandydatów notaryalnych" w ostatnim zeszycie „Kwartalnika," organu towarzystwa, cenną pracą dr. Kazimierza Bystrzanowskiego p. t. „Pisarstwo pokątne w Galicyi."

Otrzymujemy tu na rozesłane kwestyonaryusze kilkadziesiąt sumiennie opracowanych odpowiedzi od prawników z różnych stron kraju, a chociaż nie podają one dokładnego wykazu szkodników w każdym powiecie, kwestye przecież pierwszorzędnej wagi co do rozgałęzienia pokątnego doradztwa, co do zgubnej jego działalności, co do szkód materyalnych i moralnych, jakie wyrządza, wyjaśniają nam dokładnie. Odpowiedzi to dziwnie przygnębiające sprawiają wrażenie. Tak to wygląda w praktyce obrona prawna naszych chłopów, tak dochodzenie praw maluczkich. Czy weźmiesz sprawozdanie z okolic Krakowa, czy gdzieś z powiatu podgórskiego, z nad Sanu, czy z Pokucia, wszędzie jedno i to samo, wszędzie ten sam wyzysk, zdzierstwo ze strony osobników moralnie zupełnie upadłych, ta sama łatwowierność, niezaradność i ciemnota ludu, ten sam brak zaufania do obrońców prawnych (wrodzony i sztucznie utrzymywany), a powolność na przewrotne podszepty pokątnych doradców.

Po bliższem poznaniu tego wrzodu na chłopskiej skórze dochodzimy do wyniku, że lud mazurski więcej objawia odporności, niż lud ruski. Głównem siedliskiem pokątnych pisarzy są miasta i miasteczka powiatowe, gdzie wśród ludności, przybywającej ze sprawami do sądu, lub zbierającej się na jarmark, łowią klientów, jak szczupaki mniejsze rybki. Rozrzuceni są jednak i po wsiach, a nie brak nawet wędrownych, którzy zdolności swych nie chowając pod korcem, zarzucają sieci na całą okolicę. Mając doniesienia z kilkudziesięciu jedynie powiatów sądowych, nie znamy ogólnej liczby pokątnych doradców w całej Galicyi, możemy ją jednakże obliczyć w przybliżeniu. Otóż przyjmując na podstawie sprawozdań „Kwartalnika," że każdy ze 163 powiatów liczy już co najmniej 20 pokątnych doradców, okaże się, że liczba ich dochodzi do 4,000 w Galicyi, kiedy uprawnionych (adwokatów i notaryuszów) mamy zaledwie 630! Cyfry aż nadto wymowne!

Rozróżniamy pokątników dwie kategorye. W każdem niemal mieście powiatowem, obok kilkudziesięciu pomniejszych pismaków, istnieje jeden lub dwóch, którzy przybierają tytuł adwokatów i za takich powszechnie uchodzą, utrzymując formalne kancelarye, zatrudniając po kilka osób, przyszłych następców swego tronu, płacąc po 600 i 800 złr. swoim koncypientom. Obok pierwszej kategoryi oddających się wyłącznie pokątnemu doradztwu i niejednokrotnie opłacających nawet podatek od swojego zarobkowania, a więc przez władzę niejako upoważnionych, równie liczna jest druga, która obejmuje zajmujących się ubocznie tylko tem rzemiosłem, a głównie lichwą. Ilu jest w powiecie dłużników, tylu ślepo oddanych niewolników tej rzeszy, bądź z konieczności, bądź z niedołęztwa, a że dłużników takich liczba jest zastraszająco wielka, świadczą o tem tysiące skarg, do sądu rocznie wnoszonych, tysiące egzekucyi i zamazane, jak w żadnym kraju, karty ksiąg gruntowych. W miasteczkach zajmują się pokątnem doradztwem przeważnie żydzi, po wsiach zaś pisarze gminni. Obok mężczyzn próbują na tej niwie sił swoich kobiety. Nie rzadkie są wypadki, że jakaś Ryfka lub Małka, szynkując wódką, utrzymuje zarazem biuro prawnicze i sama zawzięcie pisze skargi drobiazgowe i pozwy o obrazę czci. Są to najczęściej wdowy po osławionych pokątnych doradcach, które straciwszy mężów, przejmują interes i utrzymują biuro na własną rękę, a sława nieboszczyka ściąga im klientelę.

*) Według ostatnich obliczeń (*Gazeta warszawska*), nieumiejących ani czytać, ani pisać posiada Galicya 4,876,614 przy 6,607,816 ludności. *Red.*

O inteligencyi tych szkodników tyle tylko powiedzieć można, że przeważna część umie zaledwie czytać i pisać. Należą do tej zgrai nauczyciele ludowi, po miasteczkach zaś przeważnie osobniki wykolejone, jakiś dymisyonowany za karę kancelista sądowy, wypędzony za oszustwo oficyalista prywatny, niedoszły pedagog lub wydalony za pijaństwo kadet wojskowy.

Z nizkim poziomem oświaty idzie w parze brak wszelkich pojęć etycznych, upadek i zwyrodnienie moralne. Są to wszystko ludzie bez czci i wiary, karciarze, pijacy, zdolni do wszelkich nadużyć i występków, niejednokrotnie za nie karani, dobrze obeznani z więzieniem. Działalność pokątnego pisarstwa rozciąga się na cały obszar życia prawnego ludności; obejmuje ono wszelkie sprawy, tak sądowe, jak administracyjne i skarbowe. Nie dając najmniejszej rękojmi uczciwego spełniania zleceń, których się podejmują i do których biedną ludność nakłaniają, szukając jedynie dla siebie łatwego zarobku, bez względu na jego godziwość lub niegodziwość, nie troszczą się bynajmniej o dobro stron. Ale przypuściwszy nawet, że ten i ów chce sprawę dobrze załatwić, nie umie on podołać zadaniu. Wnoszone przez nich podania, a zwłaszcza w ogromnej ilości skargi drobiazgowe, pisane bez znajomości rzeczy, nieraz wprost niezrozumiałe, zniewalają sędziego albo do zwracania zażaleń, albo też do przesłuchiwania dodatkowego stron dla sprostowania lub uzupełniania przytoczonych okoliczności. Ileż stąd bezpotrzebnej straty czasu tak dla sądów, jak dla stron, które z powodu niedołężnie ułożonych podań po kilkakroć na terminy stawać muszą.

Pokątni mecenasi, zwłaszcza wyznania mojżeszowego, nie ograniczają się bynajmniej do samego adwokatowania, ale również skwapliwie puszczają się na operacye finansowe. Klienci ich — to przeważnie ich dłużnicy, siedzący w kieszeniach żydowskich po uszy, to wyrobnicy pracujący dla swoich wierzycieli, dopóki ich ci ostatni z torbami nie puszczą. Skupowanie za bezcen przeróżnych pretensyj lub udziałów spadkowych, a następnie egzekwowanie dłużników do ostatniego centa, gnębienie współsukcesorów procesami aż do ostatecznego wyzucia z posiadanej ziemi — oto ulubione czynności tych „komorników.“ Z pokątnem doradztwem w ścisłym pozostaje związku handel gruntami. Żydzi, znając przywiązanie ludzi do ziemi, którego największem marzeniem mieć bodaj skibę gruntu, wyzyskują je w ten sposób, iż potworzyli tajne spółki, monopole do nabywania i sprzedaży gruntów. Komendę nad każdą taką szajką ma biegły w prawie pokątny pisarz. Wszyscy jej członkowie, robiąc interes, niby to się nie znają, bałamucą nieświadomego rzeczy fałszywem przedstawieniem, teroryzują go niemiłosiernie, nareszcie dopiąwszy swego, prowadzą ofiarę do pisarza, który spisuje kontrakt najczęściej sprzeczny z wolą sprzedawcy. Stąd powstają następnie procesy, wypadające naturalnie na niekorzyść chłopa.

Długiej i oddawna organizm nurtującej choroby nie da się usunąć doraźnymi środkami — potrzeba ciągłej, systematycznej na to kuracyi. Nie pomoże tu najpiękniej napisane „obwieszczenie,“ tylko wytrwała i nieugięta praca społeczna. Niedostateczność odnośnych przepisów prawnych, trudność śledzenia za pokątnikami utrudniają tę pracę. Że jednak przy silnej i dobrej woli wiele w tym kierunku zdziałać można, dowodem chociażby te wyjątkowe, co prawda, w Galicyi powiaty, w których dzięki właśnie energii naczelników sądowych, pokątne pisarstwo trzymane jest na wodzy. Należałoby podciągnąć je pod powszechną ustawę karną, jak to ma miejsce z nieuprawnionem wykonywaniem sztuki lekarskiej. Jak tam zdrowie obywateli państwa, tak tu porządek publiczny, bezpieczeństwo osób wymagają nieodzownie opieki ustawowej. Do przytłumienia pokątnego doradztwa mogą również przyczynić się projektowane gminne sądy rozjemcze po wsiach, które na miejscu rozstrzygać będą drobniejsze zatargi, a zwłaszcza liczne sprawy o obrazę czci, t. zw. pyskówki.

Beta.

DOPUSZCZENIE KOBIET DO UNIWERSYTETU.

Z Krakowa.

Na ostatniem posiedzeniu ogólnem zjazdu przyrodników i lekarzy w Krakowie wniesiono projekt petycyi do uniwersytetu krakowskiego, proszącej o dopuszczenie kobiet do wykładów wydziału filozoficznego, tj. humanistycznych i przyrodniczych. Projekt ten zgromadzenie przyjęło bardzo życzliwie. Czy również przychylnie patrzeć nań będą profesorowie wydziału, czy się zastosują do życzenia i potrzeby inteligencyi miejscowej? Ile mi się udało dowiedzieć, pewna część ich sprzyja myśli ułatwienia kobietom studyów wyższych; ale pierwszego kroku *od nich* oczekiwać nie należy: zajęci są oni pracami obowiązkowemi, w chwili obecnej znajdują się prawie wszyscy po za Krakowem, na wakacyach i z pewnością żadnych przygotowań nie uczynią dla otwarcia podwojów *almae matris* na przyjęcie płci pięknej. Jeżeli przeto prośba zjazdu ma odnieść jakiś skutek, to trzeba chyba, aby same kobiety pomyślały o jej urzeczywistnieniu. Jakoż mówiono mi, że w początku października ma się zgromadzić w Krakowie kilkadziesiąt kandydatek i zanieść zbiorową prośbę o przyjęcie ich na kursa. Droga to może najwłaściwsza, bo jak we wszystkich novych kierunkach i dążeniach, tak i tu, wypada, aby ci, co dobijają się dopuszczenia i uwzględnienia, *sami* jaknajgorliwszą działalność rozwinęli. Pewne twierdze zwyczajowe trzeba brać szturmem i nie czekać, aż same się poddadzą i zaproszą do siebie oblegających.

Dowiadywałem się, jak się zapatruje austryacki minister oświaty na uczęszczanie kobiet do wszechnic. Okazuje się, że w tej sprawie istnieje okólnik ministra Gautscha z r. 1889, w którym powiedziano, że *w zasadzie* ministeryum nic ma nic przeciwko temu, ale nie dozwala egzaminowania kobiet i udzielania im stopni naukowych i wymaga, aby odpowiedni wydział uniwersytetu i odpowiedni profesorowie zgodzili się na przyjęcie słuchaczek. Na pytanie moje, czy w uniwersytecie krakowskim którakolwiek z pozwolenia tego już korzystała, odpowiedziano mi, że w ciągu trzech lat ostatnich były dwie panie, które uczęszczały na medycynę. Tak więc istnieje i pozwolenie władzy i precedens; na przyszłość przeto nic nie stoi na zawadzie do urzeczywistnienia gorących pragnień wielu kobiet, które dotychczas zmuszone były szukać wyższej nauki w Paryżu, Szwajcaryi i gdzieindziej. Skorzystały już z tego panny czeskie i uzyskały wstęp do uniwersytetu czeskiego w Pradze. Jaki obrót sprawa ta weźmie w Krakowie, blizka przyszłość okaże. Pierwsze lody przełamane; od dobrej woli profesorów i aspirantek zależeć będzie dalszy jej rozwój.

J. K.

PAMIĘTNIK.

Otwarcie teatru.

Bez pamięci o naszej chorobliwej, do obłędu i lekceważenia wszystkich innych rzeczy dochodzącej teatromanii, trudno byłoby zrozumieć te wzruszenia i omdlenia, te zachwyty i radosne okrzyki, jakie objawiły się w naszej prasie na widok odnowionego Teatru wielkiego. Ach, och, aa, oo! cudowny, słabo mi! itp. wołania słyszeliśmy w najrozmaitszych tonach i postaciach. Uroczystość otwarcia odświeżonego gmachu, po odśpiewaniu hymnu, rozpoczęto „Prologiem“ Gawalewicza, przedstawiającym hołdy, składane Muzie przez geniusza poezyi, muzyki i wesołości (?). Pojmujemy doskonale, że autor miał do spełnienia zadanie trudne; przyznajemy, że co do formy rozwiązał je z talentem, ale wątpimy, ażeby nawet jemu samemu przyśnił się ten utwór jako liść wawrzynu. Nie zaprotestowaliby helenowie, gdyby ujrzeli swe mity w przeróbkach nowoczesnych, ale o tyle jedynie, o ile rozsnuliśmy je logicznie. Mniejsza o to, że oni nie znali żadnej Muzy, której wszystkie geniusze cześć składają; mniejsza o to, że nie znali geniuszów w tem znaczeniu, w jakiem je p. Gawalewicz na scenę wyprowadził; ważniejszem jest to, że gdyby go zapytali, w jakim stosunku względem siebie pozostają moce jego „Prologu,“ nie umiałby on im wytłomaczyć. Jest tu bowiem Bóg, są bogowie, jest sztuka, której „poświęcają nowy tum“ i która nazywa się jego „gospodynią,“ jest Muza, która dla niej i dla siebie przyjmuje wyrazy czci, są geniusze, które jednej i drugiej składają hołdy, są wreszcie gracye. Jaką rolę odgrywa każda z tych istot, jaki je wiąże stosunek, jakich czynników są postaciami — nie wiadomo. Otóż tak się nie przędzie mitów z klasycznego materyału nawet na kądzieli nowoczesnej. Jeżeli więc ten „Prolog,“ w którym nadto wiele jest słów pustych, nie mógł zbudzić zachwytów, to tem mniej *Pan Benet*, *Mefisto* lub popisy baletowe. Cóż więc wprawiło naszą prasę w stan rozkosznej nieprzytomności? Czy widok odnowionej sali i dekoracyi? Naszym dziennikarzom można wiele rzeczy odmówić, ale nigdy znajomości teatrów zagranicznych. Włóczą się oni po stołecznych i prowincyonalnych, oglądają każdy budynek Melpomeny, umieją powiedzieć, gdzie i kiedy najlichsza farsa była przedstawiona, kto i jak ją grał, było czem więc, było ozłoceniem loży lub wysłaniem krzesła, było deską naśladującą chmurę lub morze zaimponować im nie można. Teatr Wielki nie posiadał środków, pozwalających mu dorównać angielskim lub francuskim, przystroił się ozdobnie, ale stosunkowo skromnie, a w każdym razie naszych bywalców nie olśnił. Cóż zatem wyrzuciło im z piersi owe: ooo! aaa! Sam fakt odświeżenia i otworzenia sali, gdzie można przyjemnie spędzać wieczory, gdzie się widuje aktorów i aktorki, gdzie się dozna najsilniejszych wrażeń. Żadna instytucya, żadna sprawa, żadna idea nie zużywa tylu naszych uczuć i myśli, ile teatr. Warszawiak, a za jego przykładem mieszkaniec prowincyi pogodziłby się prędzej z wybuchem niszczącej zarazy, z głodem, upadkiem literatury, nędzą milionów ludzi, niż z brakiem teatru. Jeżeli pani wraca z Warszawy na wieś, to z pewnością sąsiadka zapyta ją, czy była w teatrze. Jeżeli kolega z małego miasteczka skarży się na swój los i zazdrości tobie lepszej doli, to głównie dlatego, że możesz bywać w teatrze. Szlachcic, przybywający do Warszawy dla pożyczenia od żyda pieniędzy na spłatę raty Towarzystwa, zaledwie umyje się w hotelu, biegnie naprzód do teatru. Widziałem ludzi, którzy przyjeżdżali po lekarza do chorej żony lub córki i pozostawali umyślnie na wieczór, ażeby być w teatrze. Możesz powiedzieć swoim znajomym, że rzadko się kąpiesz, nie czytasz książek, nie płacisz długów, nie oddajesz znalezionych pieniędzy — wszystko to wyda im się mniej dziwnem, niż wyznanie, że nie chodzisz do teatru. Czy wobec tego upodobania (które pewnym naszym pismom wydaje się jeszcze za słabe), ogarniającego wszystkie klasy społeczeństwa, z wyjątkiem najniższych, nie są naturalne te okrzyki radości, jakie zabrzmiały w naszej prasie? Zboże drogie, kartofle, stanowiące główną żywność ludu,

w urodzaju zawiodły, drożyzna zarysowywa się wyraźnie, wychodźcy brazylijscy wracają obdarci i głodni — czy myślicie, że to nam zmąci jeden wieczór w teatrze, zwłaszcza jeśli nas bawić będzie „geniusz wesołości“ p. Gawalewicza? Ach, nie. Gdyby tylko słowa „Prologu“ podłożono pod skoczną melodyę, przyśpiewywalibyśmy sobie ochoczo: „cześć Muzie, cześć.“ Trudno, schowajmy groch dla gołębi i nie rzucajmy go daremnie na ścianę. A więc... niech żyje teatr! Albo: „do teatru!“ — jak woła *Kuryer warsz.* zwracając się ku prowincyi i nakłaniając ją, ażeby przybywała całemi gromadami. *Z.*

Dalsze badania.

Po p. Dygasińskim pojechali do Brazylii pp. Glinka i Chełmicki. Po nich wyruszyli tamże i do Argentyny pp. Hempel i Siemiradzki, którzy obiecują dopełnić badania swych poprzedników nowymi szczegółami. W Argentynie przebywa już p. Barszczewski, który nadsyła *Kuryerowi warsz.* pouczające wiadomości o naszych emigrantach. W ostatnim liście pisze on: „Gdy pierwsze partye zaczęły tu przybywać, robiliśmy, jak pisałem w poprzednich listach, i dotychczas robimy wszelkie możliwe starania, by gdziekolwiek ich poumieszczać. Kosztuje to nie mało trudu i zachodów wobec nieposiadania przez nich języka krajowego i wobec zastoju, jaki panuje we wszelkich przedsiębiorstwach. Cóż jednak z tego. Tak im się w głowie poprzewracało, że pracy chwycić się nie chcą, próżnują, żebrzą, kradną, biją się lub wałęsają z miejsca na miejsce, wciąż szukając krainy, w której bez pracy pieniądze zbierać można! Gdy się im radzi i nastaje, by nie wałęsali się, a zarobili przynajmniej na powrót, nie dowierzają. Jednego z nich, który opuścił wyszukaną mu pracę, pytałem, dlaczego to uczynił.

-- Abo to ja przyszedł tu ziemię orać?

— A co będziecie robili, o zajęcie trudno!

— Gadanie, znajdzie się!

I odszedł. Tak prawie wszyscy, to też ręce opadają i chęć do działania odchodzi, widząc ludzi, przychodzących niby po radę, a za oczyma wymyślających i obgadujących, psujących sobie i drugim reputacyę. Najwięcej pożałowania godne są kobiety i dzieci, wyciągnięte z kraju przez mężów i ojców, najczęściej schorowane i zbiedzone, niezdolne oczywiście do zarobku. Co z niemi robić?“

Fakt niechęci do pracy potwierdzają również inni korespondenci. Wobec tego trudno odmówić niejakiej słuszności pewnemu publicyście, który pomiędzy wychodźtwem do Ameryki północnej lat dawnych, a obecną tłumną emigracyą do południowej tę głównie widzi różnicę, iż tam szukano zarobku za ciężką pracę, tu zaś bogactwa bez pracy. Różnicę tę wytworzyli swemi potwornemi kłamstwami naganiacze i agenci. Chłop nasz, wyjeżdżający do Stanów Zjednoczonych, wierzył, że znajdzie lepsze warunki i zyskowniejszy zarobek, ale wiedział, że będzie musiał pracować i od nikogo nic darmo nie dostanie. Tymczasem pędzący do Brazylii byli najmocniej przekonani, że ich tam wzywa „Najświętsza panienka“ z ojcem św. i królową angielską, że bryły srebra leżą na drogach, że w każdą wyciągniętą rękę spadają obficie pieniądze, słowem, że tam nie trzeba pracować, tylko używać dóbr raju. Rozczarowanie było zbyt okropne, ażeby ono pomieścić się mogło w ciemnej głowie prostaczków. Więc opierają się zawzięcie rzeczywistości, nie chcą pracować i w złudzeniu, że stali się chwilowo ofiarami oszustwa, wyczekują tej rozkosznej doli, którą im obiecywano. *K.*

Samobójstwo.

Przed kilku miesiącami przybyła do naszej redakcyi młoda kobieta ze skargą na krzywdy wyrządzone jej w procesie rozwodowym i z prośbą ujawnienia ich w *Prawdzie*. Musieliśmy odmówić jej żądaniu. Wtedy oświadczyła, że odbierze sobie życie, gdyż nie ma nadziei zdobycia tak wielkiej sumy pieniężnej, jaka jest potrzebna dla dostania rozwodu. Było to życie okropne, pełne zawodów, udręczeń i tortur; wszelkiemi jednak siłami staraliśmy się odwieść zrozpaczoną od tego zamiaru. Jakoż odeszła nieco uspokojona. Odtąd nie zgłaszała się wcale. Zeszłego poniedziałku redaktor, wróciwszy po kilkodniowej nieobecności, odebrał list, którego autorka prosiła usilnie, ażeby ją przyjąć nazajutrz o godzinie 11 rano „w interesie niecierpiącym zwłoki.“ List, wrzucony do skrzynki przed paru dniami, był bez daty, bez adresu, z podpisem, który nam nie przypominał osoby, i z żądaniem odpowiedzi ustnej. Ponieważ tego rodzaju korespondencye nadchodzą nieraz i to w sprawach błahych, nie przywiązywaliśmy do tej wyjątkowego znaczenia. Tymczasem, przeglądając *Kuryer codzienny*, spotkaliśmy doniesienie, że w sobotę o godzinie 11 rano na korytarzu konsystorza katolickiego W. H. otruła się. Wiadomość ta objaśniła nam list i połączyła jego autorkę z dawną, zapomnianą interesantką. Jest to nam nad wszelki wyraz boleśnie, że nie mogliśmy zadość uczynić jakiemuś życzeniu nieszczęśliwej kobiety, a może po raz drugi odciągnąć ją od samobójstwa. Zdaje nam się, że wypadek ten (chociaż pisma nasze, chciwie rozrabiające wszelką „sensacyjność,“ tak szybko przeszły nad nim do porządku dziennego i wyrzekły się niezwykłego materyału do „cause celebre“) powinien być wymowną i pouczającą przestrogą dla tych, którzy czy okrucieństwem, czy lekkomyślnością popchnęli ofiarę ku przepaści.

Kradzieże odpustowe.

Złodzieje nasi, których nikt nie policzył, których ilość stanowi olbrzymi legion, którzy owładnęli wszystkiemi dziedzinami życia, nie mogli pominąć tak tłumnych zgromadzeń ludzi, jakie się zbierają na odpustach, zwłaszcza w Częstochowie, gdzie przybywają setki tysięcy pątników. Według *Kuryera warsz.*, podczas ostatnich pielgrzymek rój złodziejów był tak wielki, a operacye ich tak liczne, że 10% odpustowiczów zostało okradzionych z rzeczy i pieniędzy. Prawdopodobnie rzezimieszkowie wyruszają razem z „kompaniami“ i pozyskawszy zaufanie swych towarzyszów, tem łatwiej oporządzają ich następnie. Naturalnie kiedyś dojdzie do tego, że oprócz przewodnika każda kompania będzie musiała mieć policyanta, któryby nad nią czuwał i złodziejów upatrywał. *P.*

Śpiewnik Noskowskiego.

Umyślnie wstrzymywaliśmy się z zaznaczeniem wielkiej wagi i użyteczności tego wydawnictwa, w którem przyjęliśmy udział, dopóki inne pisma nie wypowiedzą swego zdania. Złożyły już swoje głosy prawie wszystkie, a nie spotkaliśmy ani jednego, któryby nie brzmiał najwyższą pochwałą. Rzeczywiście *Śpiewnik dla dzieci* jest książką, która trwale pozostanie w naszej sztuce i która wywrze wpływ doniosły. Złożyły się na nią dwa pierwszorzędne talenty: M. Konopnicka i Z. Noskowski. Jak prześlicznie umie Konopnicka pisać wiersze dla dziatwy, wie każdy, kto zna dawniejsze tego rodzaju jej zbiorki. Są to zawsze nietylko obrazki wysoce poetyczne i miłe, ale wyrażone formą tak harmonijną, że niektóre — rzec można — śpiewają się same, bez muzyki. W obecnym zbiorze z równą sztuką zawarła poetka w szeregu pieśni motywy czterech pór roku. Mamy tu świerszczyka, żuczka, zajączka, zielone świątki itd. Noskowski, który jako pedagog i kierownik chórów dziecinnych, poznał doskonale naturę i siłę maleńkich śpiewaków, rozwiązał z mistrzowstwem sztuki trudne zadanie pogodzenia wymagań sztuki z warunkami uzdolnień nierozwiniętych. To też jego piosenki są zarazem kunsztowne i do wyuczenia się dla dzieci możliwe. Podkreślamy wyraz *wyuczenia się*, gdyż nie ma tu melodyj tak prostych, jak „wlazł kotek na płotek“ lub podobne, lecz wszystkie utwory są odrobione bardzo artystycznie. Chociaż skutkiem tego nasuwają pewną trudność i nie dają się pochwycić odrazu, wynagradzają niewielką pracę pięknościami i wpływem wysoce kształcącym. Dziecko zdobywa w nich nietylko łatwe melodyjki, ale rozwija w sobie zmysł artystyczny. Zadziwiają przytem swą charakterystycznością, odpowiadającą przedmiotom, a często wprost naśladują dźwięki natury, oraz bogactwem pomysłów. Ani jedna piosenka nie jest banalna, każda przedstawia kwiatek świeży i barwny. „Dzieło to — powiada jeden z krytyków — w swej całości stanowi ozdobę literatury naszej i znajdować się winno w każdej bibliotece, zwłaszcza tam, gdzie obok starszego pokolenia znajduje się i dziatwy gromadka.“ Niewątpliwie też *Śpiewnik dla dzieci*, który zaczyna już nawet zdobywać sławę po za granicami naszego kraju, stanie się najpopularniejszą książką ostatnich czasów. *Kr.*

NA WIDNOKRĘGU.

Co będzie z chłopem bez kartofli. — Zanikanie malowniczości strojów ludowych. — Naturalność tego zjawiska. — Praszka (osada).

Trąby reporterstwa prowincyonalnego roznoszą po kraju hiobowe wieści, że kartofle, alfa i omega pożywienia chłopskiego — gniją! Czy pojmujecie doniosłość tego okrzyku? To znaczy, że chłop, który pozostał głuchy na rozpaczliwe zaklęcia Prusa, wskazującego mu za strawę befsztyk i polędwicę, lecz w swej zaśniedziałości ślimaczej je ziemniaki, a żyto sieje dla opędzenia ciężarów publicznych, pierwszych nie dostanie od matki ziemi, lub ona da mu je w niedostatecznej ilości i zepsute, drugie opłacić będzie musiał drożej o cały procent nieurodzaju i cen wydętych przez spekulacyę minionej gorączki wywozowej, która trawiła kupców i ziemian przed wejściem w moc zakazu. Jeżeli zaś Maciek albo Bartek zgniłych kartofli nie będzie mógł zastąpić drogiem żytem, lecz w zastępstwie jego zechce żywić się jaką trzęsionką, stanie oko w oko z drożyzną innych gatunków zboża. Trudno z góry przewidzieć, czy niedaleka przyszłość w te ramy nie wstawi obrazu głodu, ale o ile reporterstwo ziemiańskie dobrze powiadamia i nie bije przedwcześnie w dzwon trwogi, zdaje się, że tak klasie najemniczej, jak drobnym posiadaczom gruntów gliniastych i sapowatych, sprzyjających skutkiem nadmiernej wilgoci najbardziej zarazie kartofli — rok ten zapisze się w pamięci smutnemi głoskami. Nim to nastąpi na większym obszarze kraju, ludność nadgraniczna w Kaliskiem uczuje klęskę wcześniej. *Kaliszanin* donosi, że np. w pow. konińskim skutkiem drożyzny ziemniaków i żyta zmniejszyła się trzoda chlewna, co dla chłopa tamecznego nie jest rzeczą obojętną, gdyż tuczenie nierogacizny i sprzedaż jej spożywcom zagranicznym w dochodzie jego stanowi poważną rubrykę. Nie mam zamiaru „wytrząsać się“ nad dolą chłopa, ale mimowoli nasuwa mi się może nieco dziwaczna uwaga, że, przynajmniej w tych okolicach kraju, gdzie produkcya opasów nierogatych z powyższych przyczyn staje się dla kmiotka naszego mniej dogodną, zwiększają się szanse, iż on w zabiegach o najtańsze odżywienie swojego ciała grzesznego raz nareszcie pójdzie za usilną namową autora *Placówki* i zacznie, jeżeli nie befsztykiem i polędwicą, to chociaż schabem wieprzowym posilać swoje stargane mięśnie w dreptaninie zagonowej... Wiecie, kto nawet marnej szperki przynajmniej w niedzielę nie pokosztu-

je? Najemnicy Sosnowca i ludność uboga jego okolic. *Tydzień* piotrkowski zaznacza fakt, że z wejściem w wykonanie zakazu wywozu żyta [illegible] nastąpiła ogromna drożyzna na Szlązku. Funt chleba w Katowicach obecnie kosztuje 25 fenigów, funt mięsa wołowego lub wieprzowego — 60 fenigów, a baraniny 50 fenigów. Rzeźnicy sosnowieccy, korzystając z chwilowego popytu za granicą, w zeszłym tygodniu popodnosili ceny na zwyczajnem mięsie o 4 grosze na funcie, na słoninie po 2 grosze, czyli obecnie za funt mięsa płaci się 28 gr., a za funt słoniny — 40 groszy!..

Od skarg, których osią jest brzuch, przechodzę do utyskiwań nad zacieraniem się cech odrębności etnograficznej ludu naszego — nad zanikaniem malowniczości jego strojów. Żale te pochodzą głównie z okolic podmiejskich albo z nadgranicza pruskiego. Oto, co reporter *Kaliszanina* podaje z pod Kleczewa. „Zamiast barwnych gorsetów, muślinowych i adamaszkowych fartuchów, różnokolorowych paciorków, „przyjaciółek“ (sukienny granatowy kaftanik), tysiącem guziczków przyozdobionych, wzorzystych chustek, długim końcem na plecy opuszczonych, śnicżnej białości „kopek“ na głowach starszych kobiet — u mężczyzn granatowych sukman, czerwonych kamizeli, kierezyj, pasów kolorowych, kapeluszy z piórkiem — widujemy: u kobiet „bewakondy“ (spódnica barchanowa), „kabaty dęte,“ tj. puszczane, perkalowe chustki, po niemiecku pod brodę wiązane — u mężczyzn zaś marynarki „latówki,“ „buchy,“ pierwsze letnie, drugie zimowe wierzchnie ubranie i „kaszkiety.“ Podczas gdy w innych stronach, tak mężczyźni, jak i kobiety posiadają kożuchy na zimę, tutaj kożuch najczęściej stanowi przedmiot niedoścignionych marzeń i tylko zamożniejszy gospodarz lub służący go posiada. Biedniejsi kupują także podniszczone szynele, które żołnierze w miasteczkach po nizkiej cenie wyprzedają. Czasem na jarmarkach zdarzy się widzieć sympatyczną postać starca z okolic Skulska lub Sompolna w długiej, granatowej sukmanie z pętlicami, w rogatywce z piórkiem lub barankiem. Za takimi, z dalszych okolic przybyszami, oglądają się powszechnie, dziwiąc się strojowi tak rzadko tu spotykanemu. Mieszkańcy drobnych osad i miasteczek tutejszych, jak Kazimierza, Kleczewa, Slesina itd., niezmiernie dbali o swój ubiór, starają się dorównać pod tym względem sąsiadom swoim z miast większych i iść za postępem mody, która do naszego partykularza przedziera się wówczas, gdy już w stolicy dawno o niej zapomniano.“

Widzimy więc z tego, że nietylko „kierezya“ ustępuje miejsca „latówce,“ czyli marynarce, a rogatywka — kaszkietowi u chłopa, ale że w jedną i drugi zaopatruje go „łyk“ Kleczewów, Slezinów i wogóle drobnych miasteczek, które znów naśladują wzory wielkomiejskie. Fakt ten prowadzi ku temu, że małomieszczanie i chłopi zamienią niebawem dawną różnobarwność swej powierzchowności na szarzyznę cywilizowaną. Naiwni wielbiciele malowniczości strojów ludowych niech zawczasu idą do takich zakątków, jak Skulsk i Zompolno i wzbogacają swoje zbiory etnograficzne, bo fala kultury nowoczesnej nie drzemie, tylko coraz szerzej rozlewa się po kraju i zamazuje pokostem jednolitym wzorzystą patrokacizne prastarą. Kilka nowych par szyn kolejowych, kilka nowych linij telegraficznych, wciągających w wir gospodarki pieniężnej nasz partykularz — a zabraknie nawet „sympatycznych“ postaci starców z okolic Skulska i Sompolna. Tania tkanina fabryczna wyprze z pod strzechy kmiecej szanowny samodział i krosna pradziadów. Ten sam może naiwny lubownik kierezyi i rogatywki nieraz dołączył swój głos do ogólnego chóru oburzenia na „karkołomne“ drogi polskie i wysokość taryfy osobowej na kolejach żelaznych, a nie wie tego, że sam też podcina gałąź, z której wyrasta malowniczy motyl chłopski. Szosy i udostępnienie tłumom przejazdu kolejowego — bylyby owym toporem filgranowym. Dziś sleziniak może być w razie potrzeby: mularzem, cieślą, szewcem, grajkiem, gęsiarzem i obraźnikiem. Jesienią idzie za gęsiami, skupuje ich ogromne partye w okolicy i sprzedaje następnie prusakom; na zimę wędruje po odleglejszych stronach kraju, uprowidowany w obrazy święte, książki do nabożeństwa, różańce itp.“ Cieszy się i naiwny widz z nim tą różnofachowością i cyganerya zarobkową. Ale poczekajmy nieco. Jeżeli obecny bieg naszego życia społecznego nie zboczy z przyjętego kierunku, jeżeli ta sama siła, (tj. wielki kapitał) która zaczepia druty telefoniczne między Łodzią a Zgierzem, Sosnowcem a Solcem, pokryje dla własnych potrzeb tą siecią komunikacyjną kraj cały — dostanie w swoje obroty Sleziniaka z całej jego uniwersalności zawodowej posiadać on będzie jedno jakieś uwolnienie i w czasie jednego z przesileń rynkowych, kiedy znajdzie się na bruku, jako kółko zbyteczne, potrafi być tylko — obrańskiem, jeżeli naturalnie ta sama siła, która go wybrakowała, nie roztoczy swej potęgi i w zakresie tego procederu, a ten znowu zachowa do tego czasu warunki istnienia... Zapędziłem się aż tak daleko kropkowaną ścieżką dążności obecnej fali społecznej, żeby zabiedz drogę naiwności naszej, ale wracam do rzeczywistości.

I znajduje się — w Praszce. Jest to osada w Wieluńskiem, o kilkadziesiąt kroków od granicy pruskiej położona — o 8 wiorst w bok drogi wieluńsko-częstochowskiej, otoczonej podwójnym rzędem cienistych drzew, wiśniowych przeważnie — szanowanych przez włościan. Mieszkańcy tej osady trudnią się głównie hodowlą świń, które zbywają Szlązkowi Górnemu, ciągnąc z tego spore zyski. Ludność jej wynosi około trzech tysięcy, w czem żydów jest tylko 40%, chrześcian — aż 60%. Ci ostatni zajmują się przeważnie gospodarstwem rolnem i chowem nierogacizny, a w wolnych chwilach—szewctwem. Liczba szewców wynosi aż 300 osób i stawia Praszkę w rzędzie najwybitniejszych siedlisk drobnorzemieślniczych. Żydzi, jak zwykle opanowali wymianę. Krzewi się też rękodzielnictwo i wielki przemysł: jest fabryka guzików z masy perłowej, fabryka kółek i sprzączek mosiężnych. Obie posługują się maszynami ręcznemi i zatrudniają po kilkunastu robotników. Dalej idzie garbarnia z 25 robotnikami i młyn parowy z piekarnią, który współzawodniczy z 14 piekareńkami i swoim rozwojem dołki pod niemi kopie. Istniała nawet przed kilku laty ochotnicza straż ogniowa, ale zapewne skutkiem słabości ducha organizacyjnego u nas, a może i innych powodów, zmarła i znowu zmartwychwstaje. Rekrutuje się ona z rzemieślników, którzy podobno mają tyle zamiłowania w sprawie, że mogliby stworzyć jaką „Lutnię,“ lub „Dudę...“ Co najbardziej tę osadę wyróżnia z pośród innych, że ona prenumeruje ogółem polskich, ruskich i niemieckich pism około 50! Godnem też jest uwagi, że ¼ tej liczby przypada na te, którem „babiniec“ ojcem...

Z. Atanazy.

KRONIKA

Sprawy społeczne. Ministeryum skarbu kończy opracowanie przepisów o organizacyi pracy robotników fabrycznych. Między innemi opracowano szczegółową ustawę, dotyczącą zakładów przemysłowych, korzystających z pracy kobiet.

— Będą zakładane domy robocze dla żebraków, którzy pomimo zdolności do pracy, unikają jej. Jeden z takich zakładów, jak donosi *Kur. warsz.*, ma powstać w gmachu poklasztornym w Czerniakowie.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę Towarzystwa spożywczego w osadzie Iłży gub. radomskiej.

— Zarząd osad rolnych z Ukazu Najwyższego otrzymuje 15 morgów gruntu z zabudowaniami bezpłatnie o wiorstę od Studzieńca, gdzie już wykończono nowy przytułek dla dziewcząt. Główny budynek pomieści 50 osób. Na początek jest gotowych pomieszczeń dla 18-tu. Ustawę dla nowej instytucyi już zatwierdzono. Wszelkie roboty budowlane i ziemne wykonali wychowańcy studzienieccy.

— Zmarły przed kilku tygodniami w gub. grodzieńskiej Teofil Barcimowicz, b. nauczyciel szkół rządo-[illegible] potem guwerner prywatny, zostawił kapitał, wynoszący 23,400 rs., który przeznaczył na utworzenie czterech wsparć dla nauczycieli prywatnych, pracujących w tym zawodzie lat 30. Zapis wejdzie w wykonanie dopiero wtedy, gdy z procentów składanych utworzy fundusz 30,000 [illegible]

— *Now. Wr.* donosi, iż pewne kółko właścicieli ziemskich przedstawiło do zatwierdzenia władzy projekt ustawy Towarzystwa ubezpieczenia koni i inwentarza od kradzieży. Kapitał zakładowy 500,000 w akcyach 500-rublowych.

— Rada miejska dobroczynności publicznej w Warszawie przyjęła zapis Henryka Czeklerskiego, 2,000 rs. dla Towarzystwa lekarskiego na wsparcia dla ubogich wdów lub sierot po lekarzach, aptekarzach, albo na wsparcia dla ubogich pracowników tych zawodów.

— Ministeryum dóbr państwa opracowało projekt, wzbraniający wynajmowania kobiet do robót podziemnych w kopalniach Królestwa Polskiego.

— Sąd okręgowy wojenny w Kijowie rozstrzygnął sprawę kupca austryackiego, Erazma Kraśnickiego, obwinionego o skłanianie osób urzędowych drogą przekupstwa do zabrania papierów z biura. Sąd skazał Kraśnickiego na zesłanie do bliższych gubernij syberyjskich, a trzech podsądnych, oskarżonych o zdradę stanu, do ciężkich robót na lat osiem.

— *Słowo* donosi, iż sprzedaż majątków po-Witgensteinowskich w gub. wileńskiej postępuje dość leniwie. Obecnie p. Gomulicki, zakupił przeszło 25,000 dzies. za sumę około 300,000 rs. Jeden z majątków Ks. Hohenlohe, w pow. nowogródzkim gub. mińskiej, miasteczko Mir z przyległymi kluczami, nabył ks. Światopełk-Mirski, ataman kozaków duńskich.

— Na mocy postanowienia ministeryum dóbr państwa, sprzedane będą w drodze licytacyi dwa poduchowne folwarki: Kłobia w pow. włocławskim i Matcze w pow. hrubieszowskim. O kupno pierwszego mogą się ubiegać wszyscy poddani ruscy, bez różnicy pochodzenia i wyznania; o drugi — wyłącznie kandydaci prawosławni, nie wyłączając tych, którzy byli poprzednio greko-unitami, oraz protestanci, lecz ruskiego pochodzenia, pełniący służbę wojskową lub cywilną, rządową i urodzeni w Cesarstwie, z rodziców [illegible]nia protestanckiego.

— Urzędowy komunikat z Berlina głosi: Dający się dotąd uczuwać dotkliwie brak robotników rolnych w regencyi kwidzyńskiej, skutkiem przybycia kilku tysięcy ludzi z Królestwa znacznie się zmniejszył. W okręgu opolskim napływ robotników polskich osłabł, ponieważ liczba ich po drugiej stronie granicy prawdopodobnie się zmniejszyła.

— Z Zakopanego donoszą *Kur. warsz.*: „Ksiądz Stolarczyk zakazał góralom wozić gości w niedziele i święta. Jest stąd wielka niedogodność, zwłaszcza teraz, kiedy letnicy, powracający z Zakopanego, chcąc krótko zatrzymać się w Krakowie, dla poczynienia sprawunków, zamierzali wyjeżdżać przeważnie w niedziele. Nieposłuszny woźnica musi nazajutrz nosić kamienie z za Gubałówki do nowego kościoła.“

Emigracya żydowska. Rząd kanadyjski oznajmił towarzystwom przewozowym, że będzie wymagał od nich indemnizacyi za wysadzanie na ląd żydów europejskich, nie posiadających środków do życia.

Szkoły. W tych dniach panna Celina Bronowska otworzyła w Łodzi szkołę froeblowską.

— Uniwersytet warszawski liczył w roku ubiegłym 1189 studentów, 13 wolnych słuchaczy i 144 farmaceutów. Z tej liczby na wydział filologiczny uczęszczało 52, matematyczny 138, prawny 378 i lekarski 621. Z tych z powodu nieopłacenia wpisu uwolniono 65; na własne żądanie, oprócz kończących, uwolniono 40, zmarło 7. Ze stypendyów ministeryalnych korzystało 30 studentów na sumę 10,325 rs. Uwolniono od opłaty wpisowego w I i II półroczu po 108 studentów. Wogóle uniwersytet udzielił materyalnej pomocy [illegible]wańcom na sumę 52,496 rs. 33 kop. Na zajmowanych

katedrach, pomimo wysłużenia oznaczonego terminu, pozostawiono nadal profesorów zwyczajnych, Struwego i Dydyńskiego.

— W rozpoczętym obecnie roku szkolnym przy niektórych dyrekcyach naukowych otwarte będą „muzea wiedzy stosowanej."

Przemysł i handel. Według nowej ustawy, będzie utworzony specyalny podatek sądowy od masy upadłości, na wzór zagranicy.

— Przedstawiciele niektórych firm zbożowych przybyli do Petersburga, dla porozumienia się w sprawie uregulowania cen żyta, pszenicy i produktów zbożowych.

— Ministeryum dóbr państwa, w celu poparcia handlu wełną, postanowiło powiększyć liczbę jarmarków na ten towar.

Rolnictwo Ministeryum dóbr państwa zaprojektowało obowiązkową asekuracyę zasiewów od gradobicia.

— Ministeryum spraw wewnętrznych ma wysłać do Królestwa Polskiego i do gub. zachodnich specyalną delegacyę, w celu sprawdzenia rezultatów tegorocznego urodzaju.

— *Kur. warsz.* dowiaduje się, iż złożono pięć deklaracyj na wzięcie w 60-letnią dzierżawę kopalni i zakładów górniczych rządowych w Królestwie Polskiem, składających się z sześciu oddziałów: 1) huty pod Będzinem, 2) walcowni pod Sławkowem, 3) kopalni węgla „Reden" i „Tadeusz." 4) placów kopalnianych (węglowych) w Dąbrowie na przestrzeni 905,000 sążeni kwadr., 5) różnych budynków, fabryki i gruntów w Dąbrowie, wreszcie 6) kopalni galmanu: „Barbara," „Jerzy," „Józef," „Anna" i „Ulisses," w połączeniu z 6 ciu placami przestrzeni 2,278,000 sąż. kw. O te place istnieje proces z ks. Hohenlohe; dzierżawca wejdzie w posiadanie praw rządu. Deklaracye złożyli wyłącznie poddani ruscy, a między innymi przedstawiciel przedsiębiorstwa francusko-włoskiego kopalni węgli. Suma dzierżawna liczy się od puda wydobytych minerałów, po upływie 5 lat nie może być mniejszą nad 60,000 rs. rocznie. Dzierżawca przy eksploatacyi kopalń i zakładów górniczych będzie podlegał w zupełności kontroli inspektora rządowego.

— Zniesiono badanie sanitarne mięsa wieprzowego, przywożonego z Królestwa do pogranicznych powiatów pruskich.

— Pisma ruskie podają nowe szczegóły o ustawie giełdowej: Każdy będzie miał prawo przychodzić na giełdę, w celu otrzymania potrzebnych informacyj, tudzież prowadzenia operacyj w granicach nabytych praw handlowych. Komitet giełdowy będzie miał prawo oznaczenia jednorazowej opłaty za wejście od osób, odwiedzających ją czasowo i nie posiadających stałego biletu. Od opłaty tej wolni są woźni kantorowi. Zgromadzenie giełdowe składają miejscowi i zamiejscowi kupcy 1-ej i 2-ej gildyi, wnoszący roczną opłatę za odwiedzanie giełdy. Przyjmowania nowych członków dopełnia komitet giełdowy. Do składu zebrań należą również towarzystwa akcyjne po wniesieniu stosownej opłaty.

— Ogłoszono ustawę rusko-pruskiego Towarzystwa handlowo-przemysłowego, którego celem jest zakładanie fabryk, składów towarowych i wydawanie zaliczek na zastaw towarów. Kapitał zakładowy 1,250,000 rs.

Konkurs. Na ogłoszony przez ministeryum wychowania publicznego konkurs na podręcznik mechaniki, technologii drzewa i metalów, tudzież budownictwa dla szkół przemysłowych, nadesłano pięć prac. Nagrodę w kwocie rs. 500 przyznano inżenierowi cywilnemu, p. Ewaldowi.

Zjazdy. W r. 1893 odbędzie się w Wilnie IX zjazd archeologiczny.

— Program VI zjazdu taryfowego obejmować będzie między innemi kwestyę zniżenia taryfy na przewóz obrazów Towarzystwa ruchomych wystaw artystycznych.

Bulwary. Projekt Dewarsa budowy bulwarów nad Wisłą, znowu wszedł na śliską drogę. Żąda on oddania 400,000 rs. stanowiących kapitał zapasowy miejski, motywując warunek tem, że tylko w takim razie przedsiębiorcy nie poniosą strat na podjętych robotach. Chodzi tu o uregulowanie koryta i brzegów Wisły na całej przestrzeni w obrębie miasta. Dewars zalicza tę robotę do najpilniejszych, ponieważ obecnie łatwo zdarzyć się może, iż po wezbraniu rzeki piasek zasypie rury wodociągowe i miasto zostanie pozbawione wody.

Plan Warszawy. *Warsz. Dn.* pisze: „Około czterech lat temu kiedy przystąpiono do robót kanalizacyjnych i wodociągowych 3-ej seryi, utworzono jednocześnie przy komitecie, kierującym temi robotami, specyalny oddział pomiarów mający sporządzić ogólny plan Warszawy w rozmiarze 1:250, na co wyasygnowano około 300,000 rs. z warunkiem, że plan miał być gotowy w chwili ukończenia robót kanalizacyjnych i wodociągowych 3-ej seryi, tj. w r. b. Według pierwotnego projektu plan miał się składać z 500 kartonów, obejmujących nietylko miasto, lecz i okolice. Pomimo jednak znacznych środków finansowych, wyasygnowanych do dyspozycyi oddziału pomiarów i pomimo, że oddział ten składa się z 25 urzędników, pobierających znaczne wynagrodzenie za pracę (naczelnik oddziału, p. Lichtwels pobiera około 6,000 pensyi i około 200 rs. „na podwody"), nie udało się wykończyć planu na oznaczony termin, tymczasem prawie cała suma przeznaczona na to już jest wydana. Z tego powodu magistrat wyznaczył specyalną komisyę rewizyjną, której polecił kontrolować co tydzień roboty komisyi pomiarowej. Wobec niedostateczności środków pieniężnych na plan według pierwotnego projektu, postanowiono zaniechać pomieszczenia okolic Warszawy. Prawdopodobnie na r. p. plan będzie ukończony.

Opera Goldmarka, Królowa Saby została wystawiona na scenie warszawskiej. Treść, rozsnuta w libretcie przez Mosenthala, wzięta jest z Biblii. Charakter też melodyj semickich uwydatniają niektóre ustępy liryczne. Po za liryką utwór Goldmarka jest raczej dziełem wielkiej umiejętności, niż natchnienia. Wykonano operę dobrze.

Bibliografia. A. Breza, *Literatura polska*, część I, str. 572, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— W. Zagórski i A. Zaleski, *Pan Radca*, powieść, str. 222, nakład *Słowa*.

— A. Rembowski, *Kazimierz Wodzicki jako myśliwy*, str. 228, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— I. S. Blackie, *O wychowaniu samego siebie*, przeł. I. K. Potocki, str. 112, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Esteja, *Mój testament*, (Mea i W sercu garbuska), str. 348, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— K. I. Portius, *Przewodnik gry szachowej*, przeloż. S. Tomaszewski, wyd. 2., str. 222, Warszawa Gebethner i Wolff. (Po za niepotrzebną gadaniną jest to podręcznik bardzo dobry i wypełniony przeważnie mniej znanemi partyami Morphego).

— W tanim wydawnictwie (5-kopiejkowem) ukazały się *Wiesław* K. Brodzińskiego, *W Szwajcaryi* J. Słowackiego.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29 Дозволено Цензурою, Варшава 30 Августа 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. Al. A. Świętochowski